

JUBILEUSZOWE WĘDRÓWKI WAWELSKICH ZBIORÓW SZTUKI

Z sali, gdzie wicedyrektor Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu co dopiero zakończył prelekcję, licznie zebrani słuchacze przeszli do wielkiej, ekspozycyjnej sali rzeszowskiego Domu Sztuki. Tłum pierwszych zwiedzających zatrzymał się przed efektownie oświetlonymi wawelskimi gobelinami.

Prelegent mgr Stefan Zając, wyłączył swój zdalnie sterowany rzutnik — na ekranie zgasty bajecznie kolorowe barwy tureckiego namiotu — jednego z bezcennych eksponatów wawelskiego muzeum.

— Wawelskie Muzeum ma oczywiście bogaty program obchodów Tysiąclecia?

— Z Wawelem związana jest historia polityczna, gospodarcza i kulturalna narodu, jest on pomnikiem kultury narodowej. Tam odbywały się uroczystości inauguracyjne Tysiąclecia, a obecnie mówi się o przygotowywanych na zakończenie milenijnych obchodów wielkiej sesji, organizowanej przez Polską Akademię Nauk w sali senatorskiej na Wawelu. Przez cały ten okres na Wawelu odbywały się też imprezy wysokiej miary, że wspomnę fragment uroczystości 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego.

— A jubileuszowe ekspozycje muzealne?

— Bardzo długo i z nakładem ogromnych starań przygotowaliśmy to, co w latach obchodów Tysiąclecia udostępniłoby najszerszym rzeszom, zwiedzającym, rozlicznym wycieczkom zagranicznym. M. in. zbiór wschodnich namiotów, największy w świecie poza Turcją, przez które zwiedzający przechodzi otoczony barwnym jak z baśni sklepieniem i ścianami z kobierców (nie widząc architektury wnętrza), wzbogacona wystawa ceramiki Dalekiego Wschodu to „egzotyczne” nowości ekspozycji. Obok oczywiście niepowtarzalnej rangi zbiorów wawelskiej ze skarbem królewskim, stanowiącej swoistą lekcję dawnych dziejów ojczyzn.

— Muzeum utrzymuje żywą więź z krajem, wawelskie zbiory odbywają rozmaite wędrówki?

— Działalność w tym kierunku stanowi obszerny rozdział w naszej księdze obchodów Tysiąclecia: kolekcje gobelinów pokazaliśmy mieszkańcom Zgorzelca, załodze Tursozowa, eksponowaliśmy ją w Malborku, w pięknym zamku w Lidzbarku, uświetniliśmy jubileusz pierwszej fabryki włókienniczej w Łodzi.

— Słyszeliśmy o szczególnie entuzjastycznym przyjęciu w Legnicy?

— To co działo się w Legnicy podczas wystawy wawelskich gobelinów, trudno po prostu opisać: entuzjazm legniczian równał się chyba radości mieszkańców stolicy, gdy po powrocie do kraju, po raz pierwszy eksponowano arrasy w Warszawie. W Legnicy udostępniłmy wystawę bez przerwy w dzień i w nocy, tak ogromny był napływ wycieczek.

— A ewentualne dalsze plany wyjazdowe?

— Muzeum na Wawelu jest współorganizatorem wystawy objazdowej, jaka w związku z obchodami Tysiąclecia odwiedzi ma ośrodki polonijne w Stanach Zjednoczonych.

— Najbliższe zamierzenia?

— Jesteśmy obecnie zaangażowani w urządzeniu sal renesansowego zamku w Pieskowej Skale pod Krakowem, gdzie na początku maja br. nastąpi otwarcie wielkiej wystawy Odrodzenia.

— Wrażenia z rzeszowskiej ekspozycji?

— Jak najlepsze: wyrazy uznania należą się obu instytucjom, które przy naszej pomocy zorganizowały w Rzeszowie wystawę wawelskich gobelinów.

— Nie powiedziałby nam pan dyrektor, co przed chwilą proponował panu ten przemiły starszy rzeszowianin, miłośnik i bywalec wszystkich wystaw?

— Mówił, że nie wszyscy mogą jeździć do Krakowa, żebyśmy urządzili w Rzeszowie wystawę wawelskiego skarbcza.

— ???

— No, to chyba niemożliwe, ale wysoce atrakcyjne ekspozycje być może, pozostaną z wystawy w Pieskowej Skale. Jak dotąd, mamy najlepsze doświadczenia z wędrówek naszych zbiorów, więc... — ale, niech pani o tym nie pisze w gazecie.

— Dobrze. Przypomnę tylko to co stwierdził pan w odcycku: ekspozycje muzealne żyją, gdy wędrują, gdy przebywają wśród ludzi.

Rozmawiała CECYLIA BŁOŃSKA

DLACZEGO HITLEROWCY INTERESOWALI SIĘ DOMEM PRZYSŁUPOWYM

Światowej sławy antropolog i etnolog polski, niedawno zmarły prof. Jan Czekanowski w 1927 r. pisał: „... w okolicach Przeworska zachowały się domy, w których podobnie jak na Łużycach zrab izby zamknięty powalą stanowi całość nie związaną konstrukcyjnie z dachem, wznoszącym się nad nią na pionowych słupach ustawionych naokoło ścian izby zbudowanej na węglu”. Mowa tu o domu przysłupowym, którego geneza, zwłaszcza na obszarze Śląska i Małopolski, niezmiennie intryguje badaczy do dziś. Zasięgi przetrzynny domu przysłupowego ciągnie się długi, przerywana smuga wzdłuż Sudetów i Karpat od środkowego biegu Łaby po dorzecze Sanu.

Najdalej na wschód wysunięte placówki to enklawy spotykane na terenie woj. rzeszowskiego w okolicy Łańcuta, Przeworska i Przemysła. Za najdalszy wschodni zasięg domu przysłupowego należy przyjąć dorzecze Wiaru, prawobrzeżnego dopływu Sanu. Dalej na wschód nie wzmiankuje w ogóle tego faktu cała dotychczasowa literatura etnograficzna. Potwierdziła to zresztą moja kwerenda archiwalna w instytutach naukowych i muzeach Ukrainy.

Zastanówmy się, gdzie rdzeń a gdzie odnogi. Dotychczasowi badacze rdzeń umieszczali na zachodzie, a odnogę wschodnią traktowali jako odprysk znacznie później tu zawleczony. Tak np. F. Kotula przyjął, że „... Niemcy przychodząc na Śląsk zostali w budownictwie formie stosowanej przez Słowian, konstrukcyjnie i praktycznie wysoko postawioną, przyjęli ją więc z miejsca. Następnie zaś emigrując na wschód łącznie ze zgermanizowanym elementem słowiańsko-polskim, przynieśli ją z sobą na teren Grodów Czerwieńskich”. Zastanów się wypadnie, czy tezę powyższą można podtrzymać w świetle nowszych badań, czy budownictwo przysłupowe na obszarze dorzecza górnego i średniego Sanu jest rzeczywistym wynikiem importu z terenu Śląska i Łużyc w okresie XIV-wiecznej kolonizacji terenów Małopolski i Rusi Czerwonej. Jeśli jednak okaże się, że jest odwrotnie lub że tu i tam

konstrukcja opisywana jest wytworem rodzimym niezapożyczonym, wynikłym może ze znacznie wcześniejszej łączności polityczno-etnicznej tych ziem, na których do dziś resztki domu przysłupowego są notowane? W dorzeczu górnego i średniego Sanu wraz z Wisłokiem zachodzi bowiem jedynie pozorna zbieżność między zasięgiem domu przysłupowego a osadnictwem i formami kolonizacji idącymi w XIV w.

przy analizie zasięgu całego obszaru domu przysłupowego w porównaniu z zasięgiem hipotetycznej rzeszy chorwackiej — państwa Chorwatów w VII—VIII wieku. Licząc się z całą skomplikowaną problematyką zagadnienia Chorwatów, należy jednak zaznaczyć, iż hipotetyczne śladzby tychże, poczynając od źródeł Dniestru i dorzecza Sanu na wschodzie po Nysę Łużycką i południowe zbocza Su-

STEFAN LEW

ETNOGRAFIA NA ŚLADACH CHORWATÓW

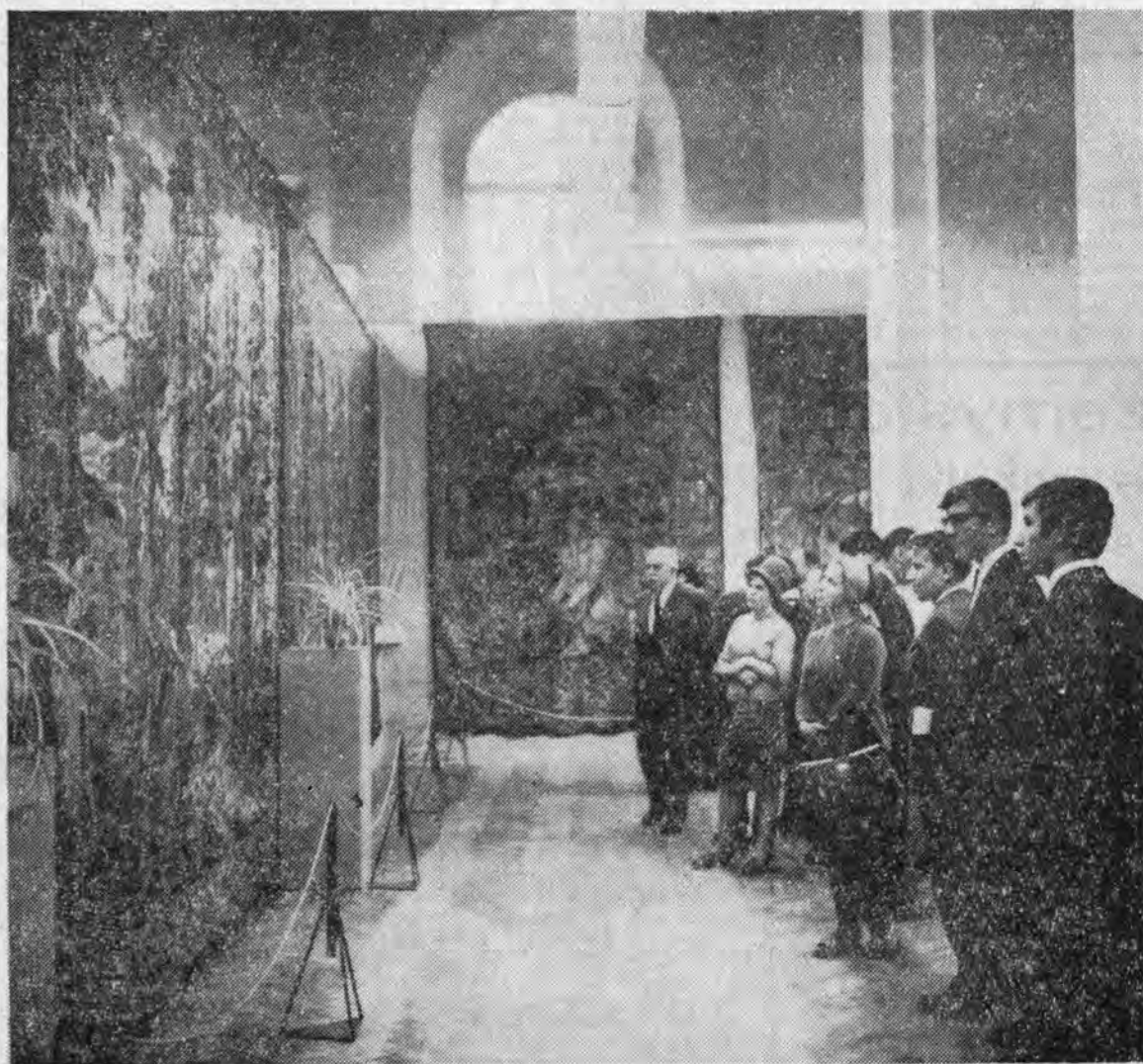
ze Śląska, Łużyc, Moraw czy Frankonii.

Ujmując statystycznie na obszarze dawnego Woj. Ruskiego na 47 miejscowości, w których występuje dom przysłupowy i 85 miejscowości ze stwierdzonymi źródłowo śladami osadnictwa śląskiego, współrealizują się obydwa fakty jedynie w 13 miejscowościach. Nawet jeśli przyjąć, że jest to wynik kurczenia się zasięgu zanikającej konstrukcji przysłupowej rozbieżności są zbyt duże. Poza tym fala osadnicza idąca ze Śląska nie zatrzymała się na linii Sanu i jego prawobrzeżnego dopływu Wiaru — na linii tej notujemy najdalszy wschodni zasięg domu przysłupowego — lecz poszła znacznie dalej, poza Lwów, docierając do Pomorza, Buczacza i dalej obejmując całą Ruś Czerwoną zajęta przez Kazimierza Wielkiego i administrowana następnie przez Władysława Opolczyka, a później na pocz. XV w. objęta też Podolem po Smotrycz i Uszyce.

Ze swej strony przedstawię pewne skojarzenia, które nasuwają się

dotychczasowej ekspansji karpackiej i szczytowane morawskie Łachy. Na istnienie Białej Chorwacji (Chrobacji) przytaczany jest m. in. ważki argument zbieżności toponomastycznych śląsko-małopolskich. W świetle tych faktów niezwykle zbieżna staje się łączność etniczna i kulturowa terytorium karpacko-sudeckiego (czerwonorusko-małopolsko-śląskiego), traktowanego jako chorwacka wspólnota terytorialna. Rozbicie jej przez Lechitów wielkopolskich nastąpiło gdzieś koło VII w., a okolicznością koniunkturalnie sprzyjającą Lechitom było osłabienie państwowości chorwackiej po najeździe Awarów.

Rozpatrując w powyższym kontekście zasięg domu przysłupowego niezwykle wyraziste stają się związki konstrukcji przysłupowej z konstrukcją przysłupową na Śląsku, rozdzielonej szerokim klinem ekspansji lechickiej. Czy brak domu przysłupowego na przedpolu Bramy Morawskiej po stronie polskiej należy tłumaczyć właśnie ekspansją lechicką, trudno dziś z całą pewnością odpowiedzieć. Ze genezą domu przysłupowego na terenie dzisiejszego woj. rzeszowskiego należy wiązać ze starszymi formacjami osadniczymi niż średniowieczna kolonizacja śląsko-niemiecka, wskazywałyby po części i ostatnie odkrycia archeologiczne w Krakowie oraz w Przemyslu. Powołam się tutaj na wypowiedź dr Wł. Grabskiego, który wręcz stwierdza, że „ostatnie wykopaliska (zreby chat) na terenie Krakowa wykazały, iż nie wydaje się chyba słuszne „bezpośrednie” wiązanie tych obiektów z osadnictwem śląsko-niemieckim”. Nie od rzeczy będzie wreszcie wspomnieć, że w okresie okupacji hitlerowskiej domem przysłupowym bardzo żywo interesowali się nazistowscy historycy. Mieszkańcy Markowej, Gaci, Albigowej czy Wysokiej doskonale pamiętają jak w 1942 r. ekipa Niemców pod kierunkiem kobiety świetnie władającej polszczyzną pracownicę rvsowała plany i fotografowała stare, najczęściej przysłupowe chałupy. Na wyniki pracy nie trzeba było długo czekać, już w następnym roku, w jednym z wydawnictw Des Instytutu für Deutsche Ostarbeit w Krakowie ukazał się artykuł Gerty Hildebrandt, dokumentujący odwieczne prawo Niemców do terenów nad Wisłą i Sanem, a jednym z koronnych argumentów był właśnie dom przysłupowy.



Zorganizowana przez Państwo. Zbiory Sztuki na Wawelu, Muzeum Okręgowe i BWA w Rzeszowie wystawa „Gobelin Wawelskie”.

Fot: M. KOPEĆ

RÓŻNE aspekty tego zagadnienia były już niejednokrotnie podejmowane na łamach prasy, jeszcze częściej — na zebraniach rodziców. Chodzi mianowicie o wysokość oraz tryb ściągania składek i cpiat szkolnych. W niejednym wypadku zastrzeżenia wzbudzało także wykorzystywanie zebranych kwot.

Zdaniem wielu rodziców, różnorodność opłat zarówno stałe, jak i okolicznościowe, były zbyt wysokie; niekiedy stanowiły one poważne obciążenie budżetu rodzin, a nawet średnio sytuowanych. Często suma tych składek zwiększała się rokrocznie, ale równocześnie wzrastał odsetek rodziców, odmawiających płacenia...

Kto i na co zbierał składki? Przede wszystkim komitety rodzicielskie, a w ostatnich latach żywiłowo powstał tzw. fundusz klasowy. Wysokość opłat była różna: na komitet rodzicielski do 20 złotych miesięcz-

postulaty, by tworzyć oddzielne klasy według określonych kryteriów. Niekiedy ma to być klasy dla dzieci z „dobrych domów”, innym razem decyduje kryterium zamożności, przy czym niejedna matka wolałaby nie posyłać dziecka do „drogiej” klasy; jej dziecko coraz natężniej żąda tego, co widzi u swojego rówieśnika.

A składki na tzw. studniówki i bale maturalne? Zmora dla wielu rodziców są przede wszystkim obowiązujące według niepisanych reguł stroje, zwłaszcza dla dziewcząt.

Inny, szczególnie ważny problem, to świadczenia na rzecz nauczyciela; m. in. część zebranych funduszy komitety rodzicielskie przeznaczają na wynagrodzenie za dodatkowe lekcje, prezenty lub przyjęcia z okazji świąt czy uroczystości. Na te cele były także organizowane doraźne zbiórki, inicjowane z reguły przez rodziców, niekiedy zaś — jak w jednym z przedszkoli — przez personel. Znam wiele wypadków odmawiania

szkół; składki na cele społeczne, np. z tytułu przynależności do organizacji młodzieżowej.

Ministerstwo Oświaty zakazało kierownikom szkół i placówek oświatowo-wychowawczych, przesyłkom komitetów rodzicielskich, klasowym i ogólnoszkolnym zebraniom rodziców wyznaczania opłat i składek na rzecz komitetu rodzicielskiego. Ich wysokość oraz terminy płatności ustalają sami rodzice w zależności od swojej sytuacji materialnej i własnego uznania. Świadczenia te muszą być indywidualnie deklarowane, przy czym rodzice płacą tylko jedną składkę bez względu na liczbę dzieci posyłanych do danej szkoły.

Zadeklarowane przez rodziców składki zbierają upoważnieni przez prezydium komitetu członkowie rad klasowych, a tylko w wyjątkowych wypadkach — sekretariat szkoły. Ministerstwo kategorycznie zabroniło jakiegokolwiek ingerencji ze strony nauczycieli lub kierownictw szkół.

WŁADYSŁAW BOCZAR

POLSKI

W 1851 roku patrol policji Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, w jednej z podkrakowskich wsi zatrzymał podejrzanego osobnika. Młodzieniec, ubrany w podróży strój istotnie zachowywał się nader dziwnie. Wpuszczał mianowicie na sznurku do studni małe butelki i wyciągał wodę. Coś tu nie gra — stwierdził gorliwy, acz głupawy policmajster i wylegitymował podejrzanego. Nazwisko i imię: Łukasiewicz Ignacy, urodzony 8 marca 1822 r. we wsi Zadużni (cyrkul tarnowski), syn Apolonii i Józefa Łukasiewiczów.

Na jednej z kart paszportu widniała adnotacja: „Był pod nadzorem lwowskiej policji jako podejrzany o działalność rewolucyjną, niebezpieczny osobnik”.

Zatrzymany był słuchaczem studium farmaceutycznego na Uniwersytecie Jagiellońskim i owe wpuszczenie flaszeczek do studni miało zapewne jakiś związek z badaniami laboratoryjnymi i wykonywaniem analiz wody pochodzącej z różnych studzien. Autorzy niektórych opracowań twierdzą (i chyba się mylą), że Łukasiewicz myszkował wówczas za ropą naftową. Po co miałby się uciekać do takiego przemysłowego sposobu, skoro przeszło sto lat temu ropa sama się ujawniała. Wielkie oleiste plamy spotykano na łąkach, w rowach i strugach.

Niebezpiecznego wicherzyciela oskarżono o zatrucie studzien znajdujących się w pobliżu koszar. W śledztwie Ignacy Łukasiewicz obronił się podobno cętym argumentem: „nie znam takiej trucizny, która by tylko Niemcom szkodziła”.

Była to już druga z kolei przegrana polityczna późniejszego odkrywcy lampy naftowej od czasu, gdy 27 grudnia 1847 roku opuścił mury pokarmelitańskiego więzienia we Lwowie. Po raz pierwszy Łukasiewicz mógł stwierdzić, że znajduje się „pod czułą opieką” policji wówczas, gdy niedawny więzień pracował w słynnej lwowskiej „Apteczce pod Gwiazdą”, należącej do Piotra Mikołascha.

Spółka Łukasiewicza — prowizor Jan Zeh i Mikołasch zapaliła się ogromnie do przeróbki wyciekającego z ziemi płynu oleistego, zwanego przez chłopów kipiączką. Mikołaschowi chodziło o przysporzenie apteczki większej sławy. „Oleum petrae rectificatum” używano bowiem do celów kosmetycznych, na odmrożenia, choroby skóry u ludzi i zwierząt. Dawka 10—15 kropli oleum na cukier była środkiem moczopędnym oraz lekiem przeciw robakom.

Łukasiewicz i Zeh być może już wówczas przewidywali, że otrzymają podczas destylacji ropy „nowa kamfina” stanie się nowym i wspaniałym, jak na owe czasy, źródłem światła.

Eksperymenty prowadzone na wycieczce, brak było sprawdzonych metod badawczych w tej dziedzinie. Ponadto młody Łukasiewicz wybierał się na wyższe studia do Krakowa i Wiednia, przeto zasób jego wiedzy był dość skromny. Nic też dziwnego, że pewnego razu kościół destylacyjny wyleciał w powietrze.

Jak zwykle bystra policja cesarska domyśliła się, że wróg monarchii austro-węgierskiej nie zaprzestał spiskować i obecnie zajął się produkcją bomb. Było więc kilka przesłuchań i trochę nieprzyjemność.

Ignacy Łukasiewicz miał pokąźną „plamę polityczną” w życiu i dlatego znajdował się pod stałą obserwacją policji. Późniejszy odkrywca lampy naftowej był w latach 1845—1846 przywódcą spisu rewolucyjnego w Rzeszowie. Ten najbarwniejszy okres życia Łukasiewicza jest stounkowo najmniej znany. Praca Jerzego Orlewskiego (MON — 1959) pt. „Spisek w apteczce” jedyny dotychczas źródłowo udokumentowany fragment z górnego i chmurnego życia Łukasiewicza zawiera sporo ciekawych danych dotyczących konspiracyjnej działalności „polskiego Prometeusza”.

6 października 1841 r., 19-letniego zdolnego i ambitnego pomocnika aptekarskiego Ignacego Łukasiewicza, widzimy w aptece obwodowej Edwarda Hübla w Rzeszowie. Od nowego pracodawcy otrzymał 12 florenów miesięcznie plus mieszkanie i wikt.

Stolica cyrkulu rzeszowskiego, jak twierdzą współcześni, była schłodnym prowincjonalnym miasteczkiem. Miała kilka okazałych gmachów, jak budynek po klasztorze pijarów, stanowiący siedzibę urzędu cyrkularnego i szkół, kościół farny i klasztor bernardyński. Za miastem, w zamku książąt Lubomirskich mieścił się sąd kryminalny. Rzeszów chlubił się wyrobami ze stopu, który otrzymał nazwę osławionego złota rzeszowskiego.

Jeden z najprzedniejszych obywateli Rzeszowa — E. Hübl — nochodził z Dukli. Pryncypał przyjaźnił się z rodziną Łukasiewiczów, którzy byli właścicielami kamienicy czynszowej oraz sprawował opiekę sądową nad nieletnim Ignacem. 18-letni subiekt „był skryty i mało-mówny. Cechował go upór i nieustępliwość w twierdzeniach. Przy swej gwałtowności miał jednak dobre i czułe serce”.

W aptece obwodowej, zasobnej w lekarstwa, podobnie jak w innych tego typu placówkach w Galicji, pedzono wysokiej klasy okowite. Wódkę nie tylko sprzedawano. Obok izby dyspensacyjnej, w dyskretnym pomieszczeniu można było wychylić jednego głębszego.

Apteka przed stu laty była więc miejscem towarzyskich spotkań, ośrodkiem nawiązywania przyjaznych stosunków z ludźmi. Nic też dziwnego, że za sprawą młodego „pigularza” — Ignacego Łukasiewicza — poważana w mieście placówka zamieniła się w ośrodek spisku. Doskonale zakonspirowane miejsce nie było śledzone przez szpiegów. Tropy konfidentów zawsze urywały się przed progiem apteki. W razie potrzeby tłumaczono, że śledzony osobnik zakupił „Chini, Salsi, Sarafrani et lignum sanctum” etc.

Na początku 1845 r. utrwalił się w Galicji podatny grunt dla spiskowej działalności organizowanej przez Towarzystwo Demokratyczne Polacie.

„Jakoś w środku lutego 1845 roku — pisał wybitny przywódca szlacheckiego skrzydła rewolucji — hr Franciszek Wiesiołowski — zajechał przed domek mój człowiek młody,

ZDZISŁAW KOZIOL

RODZICE PŁACA...

nie, na fundusz klasowy: 5—20 złotych miesięcznie. W wielu szkołach ściągano także opłaty doraźne: na dekoracje sal lekcyjnych, franki, pomoce naukowe, remonty itp. Ich wysokość wynosiła od kilku do kilkuset złotych, przy czym szczególnie wygórowane daniny rozkładano na raty miesięczne (dla uniknięcia nieporozumień podaje, że kilkusetzłotowe opłaty pobierano tylko w niektórych szkołach; osobiście znam dwa tego rodzaju wypadki). Suma opłat wynosiła nawet od 100 do 200 złotych miesięcznie.

Opłaty te uchwały komitety rodzicielskie czy też zebrania klasowe rodziców. Z inicjatywą występował także kierownik szkół i wychowawcy. A że ogół rodziców często nie był poinformowany lub przekonany o celowości tych świadczeń, wytworzyła się swoista atmosfera powątpiewania w zasadę bezpłatności nauczania. Dla wielu obojętny był tytuł składek; budowa warsztatów (tj. remont dachu, zakup pomocy naukowych czy czesne, które młodemu pokoleniu znane jest tylko ze wspomnień starszych. Niechęć do różnych opłat wynikała i z tego, że niejednokrotnie pobierano je na cele, które miały pokrycie w budżecie szkoły. Gwoli prawdy muszę dodać, że w niejednym wypadku rodzice zwlekali z uiszczeniem opłat uzasadnionych, a o ich przeznaczeniu nie wiedzieli, gdyż nie interesowali się szkołą, do której posyłał swoje dzieci.

O finansowym obciążeniu rodziców nie będę się rozpisywał; Ministerstwo Oświaty uwzględniając krytyczne uwagi opinii publicznej wydało okólnik, regulujący te sprawy. Zaním poinformuję o ważniejszych postępowaniach zawartych w tym dokumencie, kilka uwag o wychowawczych aspektach stosowanych dotychczas praktyk.

Sygnalizowano mi liczne wypadki swego rodzaju licytowania się rodziców; na jednym z zebrani padła propozycja 50-złotowej składki miesięcznej na fundusz klasowy. Wnioskodawca twierdził, że przecież to grosze, nie mające w budżecie rodziny żadnego znaczenia. Propozycja wywołała oburzenie pozostałych rodziców. Nie wspominałbym o tym incydencie, gdyby nie pewne następstwa podobnej postawy niektórych rodziców; tu i ówdzie słyszy się

przyjęcia prezentów, chociaż nauczyciel był przekonany, że ofiarodawca nie żywi ukrytych intencji, a odmowa sprawia mu przykrość. Ale jakże często stawia się nauczyciela, oględnie mówiąc, w kłopotliwej sytuacji; z takiej czy innej okazji cała klasa i poszczególni uczniowie wręczają kwiaty, a wraz z nimi symboliczne i materialne upominki. I znowu tworzy się swoista atmosfera presji na nauczyciela oraz pozostałych rodziców: daje przecież cała klasa. Nie wiem jakie rozmiary przybrało to zjawisko, znane mi wypadki upoważniają mnie do poczynienia tych uwag. W tej atmosferze nawet „kwiatek dla pani” traci na swym uroku; dziecko domaga się od matki pieniędzy na bukiet, równie okazały i drogi, jak te, które przynoszą inni.

Piszę o tych sprawach z niechęcią dozą tremy; przed kilku laty na łamach bardzo poczytnego dziennika ukazał się list czytelniczki, która obliczała ile to wydano pieniędzy na kwiaty dla nauczycieli z okazji zakończenia roku szkolnego. List wywołał gwałtowne protesty nauczycieli, które redakcja lojalnie opublikowała. Podzielałem zresztą oburzenie nauczycieli, i to nie tylko dlatego, że kiedyś ten zawód wykonywałem. Był to pełen insynuacji napad na nauczycieli bez uwzględnienia atmosfery wytworzonej najczęściej właśnie przez niektórych rodziców. Ale gdy emocje ostygły, zaczęły się pojawiać propozycje, by zamiast okolicznościowych upominków czy nawet kwiatów, które w określonej atmosferze tracą swe symboliczne znaczenie — przekazywać pieniądze na cele dobroczynne lub społeczne, np. Dom Matysiaków czy fundusz budowy szkół. Osobiście nie zamierzam agitować przeciw kwiatom, lecz niech kwiatek będzie wyrazem uczuć...

Podałem tylko niektóre z przejawów zjawiska, będącego przyczynkiem ilustrującym stosunki panujące w niejednym środowisku. Powróćmy jednak do zasadniczego tematu: na co można, a na co nie wolno zbierać składek. Od uczniów lub ich rodziców mogą być pobierane składki na fundusz komitetu rodzicielskiego; opłaty na pokrycie kosztów określonych świadczeń na rzecz uczniów o ile koszty te nie są objęte budżetem

Można pobierać składki lub opłaty na świadczenia, z których uczniowie osobiście i dobrowolnie korzystają, jeśli nie mają one pokrycia w budżecie. Wolno np. pobierać opłaty na ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków; opłaty za imprezy (wycieczki, przedstawienia, seanse filmowe itp.) lub za korzystanie z zajęć nieobowiązkowych (nauka języka obcego lub gry na instrumentach itp.); składki na koszty zakupu materiałów przeznaczonych do indywidualnego użytku ucznia (np. materiały do zajęć praktyczno-technicznych). Wolno także pobierać opłaty za dożywianie uczniów oraz w uzasadnionych wypadkach na pokrycie kosztów naprawienia szkody materialnej wyrządzonej przez ucznia.

Zabronione są m. in. zbiórki na: upominki dla pracowników szkoły; wpisowe przy przyjmowaniu uczniów; za wydawanie dokumentów szkolnych, jak legitymacje, świadectwa, zaświadczenia (uczniowie opłacają jedynie koszty blankietu) oraz opłaty pieniężne tytułem kar za wykroczenia uczniów. Nie wolno także zbierać składek na fundusz klasowy, remonty pomieszczeń szkolnych, finansowanie douczania (tzw. lekcje wyrównawcze).

Okólnik reguluje także zasady gospodarowania uzyskanymi ze składek i opłat funduszami, które m. in. mogą być przeznaczane na opiekę dla dzieci potrzebujących pomocy, poprawę materialnych warunków pracy i stanu higienicznego szkół; pomoc materialną dla organizacji uczniowskich itp. Słowem: fundusze te mają służyć dzieciom i młodzieży.

Zbyteczne jest obszerne uzasadnianie znaczenia decyzji Ministerstwa. Nasuwa się jednak zasadnicza uwaga: ograniczenie nadmiernych dotychczas składek nie oznacza bynajmniej niedoceniaenia znaczenia społecznej pomocy dla szkoły i młodzieży. Mam m. in. na uwadze rozwijanie przez rodziców inicjatyw w kierunku podejmowania przez ich przedsiębiorstwa czy instytucje opieki nad szkołami itp. Ale to już temat oddzielny.

Muzeum przemyskie ewidencjonuje zabytki

Z ciekawą i pożyteczną inicjatywą wystąpiło Muzeum Ziemi Przemyskiej, które podjęło szeroko zakrojoną akcję ewidencjonowania zabytków znajdujących się w posiadaniu szkół. Chodzi mianowicie o zabytki z zakresu archeologii, etnografii, sztuki ludowej, numizmatyki, ikonografii, archiwalne zdjęcia i widokówki, starą prasę odesywy, druki ulotne i rękopisy.

Muzeum za pośrednictwem wydziałów oświaty przesyła ankietę do wszystkich szkół na terenie województwa rzeszowskiego. Jak nas poinformował dyrektor tej placówki — mgr Antoni Kunysz, na ankietę odpowiedziało już około 600 szkół. Świadczy to o zrozumieniu potrzeby ochrony zabytków. Muzeum oczekuje na zwrot dalszych ankiet, z niektórych powiatów, m. in. rzeszowskiego, nie wpłynęła jeszcze ani jedna odpowiedź.

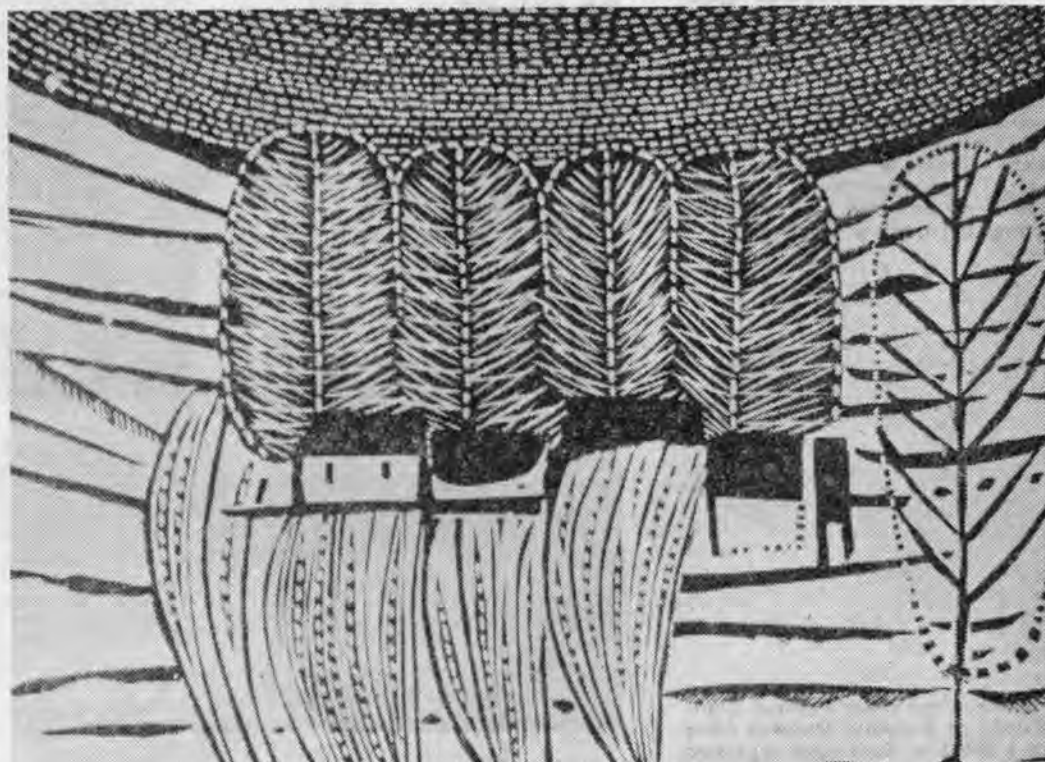
Nadesłane ankiety są uważnie studiowane. Okazuje się, że niejedna szkoła posiada bogate kolekcje zabytków oraz archiwalia, które dla historii mogą mieć ważne znaczenie. M. in. Szkoła Podstawowa w Witkowiec jest w posiadaniu rękopisu: „Wykaz pilności uczniów i uczennic szkoły trywialnej w drugim półroczu 1865 roku”, a w Szkole Podstawowej w Kozienicach znajdują się zabytki archeologiczne (siekiarki i noże krzemienne) z różnych epok.

Autorzy ankiet pytają m. in. o miejsce znalezienia tych przedmiotów, co dla nauki ma także bardzo ważne znaczenie; umożliwia chociażby lepsze poznanie zasięgu wpływów kultur dawnych ludów.

Fachowa ocena zabytków podniesie także ich znaczenie jako pomocy naukowej (pozostają one w szkołach). Swoją inicjatywą Muzeum przemyskie przyczynia się również do pobudzenia zainteresowań wśród młodzieży.

Z. K.

Barbara Smoczyńska — Grafika



PROMETEUSZ BUNTOWNIKIEM

bez zarostu, z długim blond włosami, twarzy pociągłej i bladej, wzrostu średniego, ruchów niezgrabnych... Jakże zdziwiło mnie, gdy wkrótce oznajmił, że jest Edwardem Dembowskim".

„Czerwony kasztelan” — trybun ludowego skrzydła konspiracji przekonał Wiesiołowskiego, że godzina powstania jest bliska.

Ale już w grudniu 1845 r. doszło do dramatycznego sporu pomiędzy dwoma przywódcami. Konflikt dotyczył metod i celów walki, starły się dwie koncepcje rewolucji, z których jedna zmierzała do zmiany ustroju społecznego, druga reprezentowała interesy ziemiaństwa. Wiesiołowski szczególnie oburzała aktywna działalność wiernego wyznawcy idei Dembowskiego — Juliana Goslara. Hrabia Wiesiołowski uważał, że kolportaż radykalnej odezwy do chłopów „Ewangelium dla ludu” jest przedwczesny. Z gruntu fałszywa i zębna w efekcie dla sprawy „pańska koncepcja” powstania głosiła, że należy wezwać chłopów pod broń i ogłosić program umiarkowanych reform społecznych w dniu wybuchu rewolucji.

Niestrudzony Dembowski prowadząc agitację wśród ludu wiejskiego, wśród oficjalistów i rzemieślników osiągnął wkrótce piękne sukcesy. Jednym z 31 agentów Dembowskiego został Ignacy Łukasiewicz — syn żołnierza Insurekcji Kościuszkowskiej, znawca stosunków miejscowych (w latach 1832—1836 był uczniem gimnazjum pijarów) oraz serdeczny przyjaciel rzemieślników, czeladników, pomocników sklepowych, drobnych urzędników i gimnazjalistów.

Łukasiewicz otrzymał w przydziale Rzeszów i okolice. Wieczorami w mieszkaniu subiekta rozpoczynały się długie i gorące dyskusje. Później, laborant apteczny Wietchy zeznał przed Komisją Kryminalną, iż słyszał podniesiony głos Łukasiewicza: „wybić, wygnąć Niemca z kraju, że sam Polak zostanie”. Wyciągano z siennika i czytano „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego”, „Psalmy miłości”, „Pamiętniki Towarzystwa Demokratycznego” oraz inne „antypaństwowe” książki.

Schodzili się na tajemne rozmowy kontroler z fabryki Potockiego w Łańcutcie, Aleksander Tarłowski i malarz pokojowy Karol Chodźniński, subiekt Mikołaj Jawornicki, krawiec Jan Czarnecki, uczniowie gimnazjum Jan Madejski, Karol i Henryk Bieniaszewscy, nauczyciel muzyki

Jan Guniewicz, kotlarz Józef Fosiewicz z Kolbuszowej i inni. Wśród tych prostych ludzi agent rzeszowskiego spryszczenia czuł się najlepiej. Później przyjaźń tych ludzi została poddana ogniowej próbie. W złych chwilach wierni druhowie nie opuścili Łukasiewicza.

Na całe życie zachował on w pamięci autentyczne, niczym nie ska-

wicza. Nawet legalne Towarzystwo Dam Dobroczyńności znalazło się w zasięgu spisku. Wspomniane Towarzystwo organizowało występy teatralne. Dochód z przedstawień przeznaczano na fundusz pomocy dla powodźian.

Termin naglił, zbliżał się czas rozprawy. W styczniu 1846 r. członkowie Rządu Narodowego w Krako-

wań, nerwowo nie wytrzymał Czeschowski i samowolnie wyznaczył dzień wybuchu powstania na 18—19 lutego.

Plan rzeszowski przewidywał zaatakowanie miasta z czterech stron: od Głogowa przez Władysława Reja, od Zwierzycy przez Kajetana Skrzyńskiego, od Przybyszówki przez Wiktora Wojciechowskiego, od Krasnego przez Seweryna Tańskiego.

Romantyczna, lecz nieprawdziwa fama głosiła, że rewolucjoniści postanowili dokonać zamachu podczas balu zapustnego, który miał się odbyć w zajeździe „Pod Luftmaszyną”. Rzekomo miało być tak, że wszystkie obecne na zabawie panie poproszą do mazura oficerów. Spiskowcy liczyli, że przed frontalnym atakiem rzeszowskich dam ugnie się cały „garnizonowy kwiat”. Oficerowie, zgodnie z ówczesnym savoir-vivrem odłożą swoje szpady... i wtedy! Krawiec Jan Czarnecki wzniesi pożar swego domu (miał to być sygnał do rozpoczęcia akcji). Ksiądz-rewolucjonista Jan Tałasiewicz uderzy w dzwon na alarm.

W istocie bal fantowy miał być pretekstem do ostatniego spotkania się okolicznej szlachty w Rzeszowie na kilka dni przed powstaniem. Ale zabawa nie doszła do skutku.

17 lutego wojska gen. Legeditscha zajęły Rzeszów. Rozstawione na rogatkach miasta posterunki zatrzymały tłumnie zjeżdżającą i uzbrojoną po zęby szlachtę.

19 lutego zjawił się w aptece Hübla osławiony burmistrz Adolf Koschina w asyście policjantów. Ignacy Łukasiewicz został aresztowany. 26 lutego pod kluczem znalazło się przeszło 100 osób: m. in. Wiesiołowski, T. Wiśniowski, Goslar i inni. Zginął Dembowski. To już był koniec galicyjskiego spisku.

Podczas śledztwa wyszło na jaw, że władze policyjne dość dokładnie przeniknęły tajemnice spryszczenia. Sygnałów było sporo: najpierw tzw. afery sztyletowa w gimnazjum, później masowe wykupywanie oraz kradzieże prochu strzelniczego w Rzeszowie. Któż mógł przypuszczać, że nawet 16, 17 i 18 grudnia 1845 r. agenci Koschiny z Wangiem i Morgensternem na czele śledzili kroki Wiesiołowskiego, Łukasiewicza i Tałasiewicza.

Koschina otrzymał również anonim, w którym napisano: „Burmistrz albo cała nieruchomość ma być zniszczona ogniem i mieczem”.

Podobne informacje miał w ręku starosta Tadeusz Lederer (nawiasem mówiąc syn starosty — Franz, pozostający pod wpływem matki — Polki był zamieszany w spisek i aresztowany. M. in. dlatego wkrótce po tych wypadkach kierownikiem cyrkułu mianowano energicznego Niemca Augusta Festenburga).

23 czerwca 1846 r. Łukasiewicz po raz pierwszy stanął przed obliczem trzyosobowej Komisji Kryminalnej. Zarówno w pierwszym dniu jak i później podczas długotrwałych i męczących przesłuchań w Rzeszowie i we Lwowie zespolowi wytrawnych inkwizytorów przeciwstawił się samotny, lecz spokojny, opanowany i czujny przywódca rewolucji.

Była to wielka gra. Mimo że wielokrotnie nad głową Łukasiewicza zawisły czarne chmury, opanowany, logicznie myślący Łukasiewicz zrezygnie omijał pułapki zastawione na niego przez sędziów śledczych.

W tej grze pomagali mu najbliżsi: matka, bracia Franciszek i Aleksander, siostra Emilia, narzeczona Karolina Krynicka, posługacz z apteki Hübla — Ignacy Sewerniak i inni, którzy poprzez mury więzienia informowali go, jaką ma obrać taktykę obrony.

To były ciężkie czasy dla młodego rewolucjonisty. Zachował się ciekawo, wiele mówił dokument z tamtych czasów. Lekarz więzienny we Lwowie stwierdził: „Ignacy Łukasiewicz o zdrowym ustroju cielesnym nadaje się do kar cielesnych przez bicie kijami oraz do robót publicznych”.

Zwycięstwo Łukasiewicza było sukcesem jego taktyki obronnej i jego przyjaźni politycznych. Sędziwo umorzono „z braku istotnych dowodów winy”. Niemniej jednak 21 lutego 1848 roku sąd karny przesłał do Gubernium poufne pismo: „Ignacy Łukasiewicz... ze względu na jego zatwardziałość, tudzież uparte zapieranie się winy przedstawia się jako niebezpieczny osobnik na przyszłość, dlatego należałoby poddać go pod szczególny dozór policyjny”.

Właśnie dlatego, po opuszczeniu murów pokarmelińskiego więzienia jeszcze dwukrotnie został aresztowany. Ale wtedy inna rewolucja — rewolucja techniczna zaprzętnęła umysł Łukasiewicza.

„Muszę się śpieszyć i pracować — pisał — bo czy ja wiem, czy mi mego życia wystarczy na spełnienie wszystkich moich planów i zamiarów...”.

WŁADYSŁAW BO CZAR

PS. Opracowując ten artykuł, oprócz wymienionej w tekście pracy, korzystałem z następujących opracowań: Jan Dębski — „Ignacy Łukasiewicz”, Zbigniew Przyrowski — „Światło z ziemi”, Wojciech Rośke — „Ignacy Łukasiewicz”, Ludwik Tomaszewski — „Ignacy Łukasiewicz — twórca przemysłu naftowego”, Leon Tomaszewski — „Wiek nafty”.

(wb)



żone dowody przyjaźni. Zapewne dlatego w okresie późniejszym o-bracał się przeważnie wśród chłopów, rzemieślników i drobnych urzędników. Był ich powiernikiem i obrońcą.

Ale powróćmy do Hübla. Organizator rzeszowskiego spryszczenia nie przepuścił żadnej okazji, która sprzyjała rozwojowi spisku. Świetnie służył tym celom instytut dla dziewcząt z tzw. „dobrych domów”, który prowadziła Karolina Krynicka — nauczycielka z Kongresówki i pierwsza wielka miłość Łukasie-

wie wyznaczyli datę wybuchu powstania (w nocy z 21 na 22 lutego 1846 r.).

Łukasiewicz rozpoznał siły militarne wroga i ustalił ich rozmieszczenie. W Galicji w połowie stycznia 1846 r. stało pod bronią około 18.500 piechoty i 7.000 jazdy. Słaba załoga garnizonu w Rzeszowie liczyła 440 piechurów i 930 jeźdźców. Szanse rewolucjonistów na zwycięstwo były więc duże. Jednak zmalały one do zera na skutek tragicznych pomyłek. W okręgu tarnowskim z powodu masowych areszto-

KALMAN SEGAL

Taki ładny dzień...

Opowiadanie pogodne

Po świetnie przespanej nocy, po rozkosznych marzeniach sennych, w których ja miałem lat osiemnaście, a moja narzeczona była najładniejszą dziewczyną w naszym mieście — po takiej nocy zbudziłem się o wschodzie słońca; pęten najlepszych przerw ustąpił z łóżka prawą nogą i pobiegłem do łazienki. Jest woda? Jest zimna i ciepła, a jakże. Ogoliłem się; nasze żyłki od pewnego czasu są świetne i zupełnie nie rozumiem tych malikontentów, którzy twierdzą, że krajowe żyłki są tępe jak dzieci notorycznych pijaków. Ach, co to za przyjemność ogolić się, a potem wziąć kąpiel, człowiek czuje się jak nowo narodzony.

Jeszcze trochę gimnastyki: raz, dwa, trzy, cztery, raz, dwa, trzy, cztery. Doskonale. Wystarczy.

Ubieram się. Kiedy człowiek jest w dobrym nastroju, nawet ubieranie się sprawia przyjemność. Bielizna czystułka, prosto ze spódnicy pralni — te usługi dla ludności są wprost doskonałe. Koszulka ładnie wyprasowana gładziutka jak pośladek niemowlęcia, ani jednej zmarszczki, wszystkie guziki na miejscu. Ubranko wyczyszczone w pralni chemicznej, ani jednego pyłeczka. Spodnie odprasowane w kancik — no nie, to już nie są spodnie, to już jest poemat, w każdym razie dobry kawałek poezji. Buty prosto od szewca, można w nich obejść całą kulę ziemską — ani jednego gwoźdźka na wewnętrznej stronie podeszwy. Krawcik: chwila zastanowienia. W groszki, czy w kra-

teczkę? Może być w groszki. I już jestem ubrany.

Patrzę na zegarek. Do pracy jeszcze za wcześnie, zaczynam dopiero o dziewiętej. Właściwie to mogłem sobie jeszcze poleżeć, ale jak tu uleżeć, skoro człowiek rozpięta radość i żądza życia.

Nastawiłem radio, akurat nadawano arie z opery „Miliony Arlekinów” — stuchałem z prawdziwą przyjemnością, bo bardzo tę melodię lubię.

Niestety, ledwo Arlekin zdążył przemówić do Kolombiny, ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

— Ciszej, do jasnej cholery! — wrzeszczał mój sąsiad — Zona chce spać!

— Zartuje pan! — powiedziałem — Ja nie mam żony.

— Ale ja mam! — darł się wściekłym głosem sąsiad — To m o j a żona chce spać.

— O tej porze? — roześmiałem się. — Słońce już wysoko. Trzeba iść do pracy. Któż to śpi o tej porze?

— Zamknij się, święski ryju! — ryczał sąsiad — Wylącz to cholerne radio. Dzisiaj niedziela.

Wylączyłem. Do pracy nie poszedłem, bo ten gość za drzwiami miał rację, rzeczywiście była niedziela. Mimo to w dalszym ciągu byłem pełen radosnego napięcia. Coś we mnie śpiewało, tak jakbym miał w sercu całą orkiestrę symfoniczną razem z dyrygentem. Z chórem i solistami. Coś mnie rozpiętało. Jakby serce pękało w szwach. Pomyślałem sobie, że jestem młody, że żyję,

że życie jest piękne — żyć, proszę państwa, to świetna rzecz! Jestem szczęśliwy, nie mam żadnych długów, nie jestem żonaty, nie jestem rozwiedziony i nie muszę płacić alimentów, jestem kawalerem, kawalerem być to brzmi dumnie; pewnego dnia poznam piękną szlachetną dziewczynę o gołębim sercu i wspaniałych nogach, to będzie moja pierwsza miłość, ta jedyna i nieuleczalna. Po trzech dniach flirtu zakocham się, po tygodniu zdołuję jej wzajemność, po dwóch tygodniach pobierzemy się, będziemy bezgranicznie szczęśliwi, weźmiemy ślub, będą kwiaty, róże, mnóstwo róż. Ona będzie w welonie. Wianuszek z mirtu. Gratulacje. Sznur samochodów. Podróż poślubna. A po trzech miesiącach będziemy mieć dziecko.

Coś we mnie gra. Słyszę tony marsza weselnego. Zamykam oczy.

— Zona chce spać! — ryczy sąsiad za drzwiami — Wylącz pan radio!

— Co mam wylączyć? To nie radio. To we mnie coś gra. Nie wiem, czy to się da wylączyć.

— Spróbuj pan! prosi sąsiad — Błagam pana.

— Spróbuję, może się uda. — Musi się udać.

Udało się wylączyłem. Otworzyłem okno: pełne okno łąka. A niebo! Ten błękit, najczystsza ultramaryna.

Zarzuciłem na szyję szalik i wylączyłem na ulicę. Istotnie: była niedziela. Młode dziewczęta obnosiły swoje uśmiechy, obiecujące spoj-

zenia pełne nadziei i słodyczy. Patrzyłem bezradnie: nie wiedziałem, w której mam się zakochać. Wszystkie były takie ładne...

I znowu poczułem, że coś we mnie śpiewa, coś gra. Melodia była coraz piękniejsza i coraz głośniejsza.

Po kilku minutach dokoła mnie zebrał się spory tłumek, zbiegowisko rosnęło niestannie. W pewnej chwili usłyszałem donośny głos milicjanta.

— Co się tu dzieje? Melodia nie ustawała. Koncert trwa!

— Proszę się rozejść! — powiedział energicznie milicjant — Rozejść się!

Tłum zaczął się oddalać. — Koniec pieśni — zawyrokował milicjant. — Niech pan przestanie śpiewać!

— Nie mogę — odparłem — To nie ja śpiewam. To we mnie coś śpiewa.

— Nie wolno śpiewać na ulicy — Wyjaśnił cierpliwie milicjant — Dzisiaj nie ma już podwórkowych śpiewaków.

— Ależ ja tylko tak. Nie dla zysku. Z radości życia.

— Możliwe. Ale teraz zapłaci pan mandat — za naruszenie porządku.

— Nic nie naruszałem — powiedziałam.

— Naruszał pan — twierdził milicjant — Zbiegowisko było? Było. A zezwolenie na koncert jest? Nie ma. A w jednym miejscu pan nawet trochę fałszował.

Tą ostatnią uwagą poczułem się dotknięty i zapytałem ile powinienem zapłacić za to jedno miejsce.

Milicjant zastanowił się i powiedział:

— Wie pan co? Darujemy panu ten mandat. Taki ładny dzień dzisiaj, nie chciałbym panu robić przykrości. Nie mam serca.

— Ależ wprost przeciwnie! — zaprotestowałem. — Bardzo mi będzie miło. Naprawdę. Chętnie zapłacę.

— Mowij nie ma — uparł się milicjant.

— Bardzo pana proszę — zaczął

tem nalegać — Niech mi pan pozwoli zapłacić. Tak bym chciał panu zrobić jakąś przyjemność.

— Powiedziałem nie! — zakończył dyskusję milicjant — i dodał pojednawczo: Niech pan nie nalega. Zapłaci pan następnym razem...

A ponieważ akurat kończył swój dyżur, więc poszliśmy do kawiarni, na małą czarną. Chciałem płacić, ale nie pozwolił. On fundował.



Rus. J. SIENKIEWICZ

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

MOLIEROWSKI „EKSPERYMENT”

Odjęto mu w tym przedstawieniu wszystko lub prawie wszystko, co pozwala uznać Moliera za burzyciela starych prawd. Odjęto mu przy tym dźwięk. Odjęto ostrość widzenia konfliktów, którymi nabrzmiała jego epoka i to jest ponowne zamknięcie ust wielkiemu pisarzowi; pierwsze zgotowali mu właśnie współcześni, słowem — ta epoka, której wady tak drapieżnie wyszydzał.

„Don Juan” nie jest komedią czystą. Nazwałabym go dramatem sumienia, który rozgrywa się w gęstym śpicie, czasem komediowych, często tragicznych, najczęściej w wymiarze świadomości intelektu szukającego rozwiązań. Mam do Moliera stosunek bardzo osobisty; do „Don Juana” zupełnie własny. I dlatego ciężko mi strawić rzeszowskie przedstawienie, które podała nam jako zupełnie nową propozycję inscenizacyjną Elwira Turska. Z gruntu dla mnie przy tym fałszywa.

Mógł być Don Juan rittnerowski postacią z operetki i podstarzałym lowelasem, którego intrygi rozwiązuje atmosfera kabaretowa; nie może nim być Don Juan molierowski, który dziwką nie jest, który nie traktuje kobiety jako celu, ale jako środek do zaspokojenia własnych światoburczych koncepcji, XVII-wiecznych koncepcji — dodajmy, ale część z ich prawdy przenieśmy automatycznie na naszych sfrustrowanych i wyalienowanych.

Nie lubię tych słów, bo zwykło się pod nie podciągać pojęcia o tak małej wadze moralnej, że nabrały odpowiednio pejoratywnego wydźwięku, ale molierowski kawaler — to postać dla mnie tak bardzo wyalienowana ze środowiska, tak bardzo z nim skłócona i inna od niego, tak bardzo przy tym nim znudzona i o tyle „lepiej” myśląca od niego, że ta frustracja czyni z niej właśnie owo monstrum obyczajowe.

Molier miał z „Don Juanem” kłopoty. Nie tylko z „Don Juanem”, jeśli uświadomić sobie, że powstał on po Tartuffie, którego grać przecież zakazano. Dlaczego mam dziś, kiedy uwolnienie kobiety, zamkniętej wbrew jej woli w klasztorze uważa się za naturalny akt społeczny, brać ów czyn Don Juana za monstrualny? Będzie takim tylko wtedy, jeżeli nie będzie równocześnie reakcją chęci i pustoty serca, ale czynem świadomym przeciw uświęconemu kanonowi, który prawo uważa za zbrodnię. Będzie wtedy, kiedy przemówi do mnie ów czyn najważniejszą przesłanką, jaką go ewokowała — chęcią protestu przeciw środowisku, środkiem do ukazania hazardowej odwagi.



Rys. J. SIENKIEWICZ

Don Juan rzeszowski uwodzi kobiety; wieśniaczki, kto wie czy ładne, na pewno głupie. Świetnie. Zamknął tu Molier cały cynizm tego jaśniepniaka, który się bawi, znudzony igraszką serc. Dlaczego — Don Juan — Kiziułkiewicz nie jest znudzony, ale zabawa go pochłania? Dlaczego nie pozwala dostrzec widzowi, że to tylko zabawa? Dlaczego kłóca się dziewczyny i cały dynamizm (zupelnie zbędny) tej sceny obraca się

Sganarella grał Molier w premierowym przedstawieniu; czy pisząc tę postać nie czuł zanadto własnych niedostatków, by zagrać Don Juana? Obok grała przecież piękna kobieta, która mu była, trzeba przyznać ze zmiennym szczęściem, żoną...

Co próbowano ocalić w przedstawieniu rzeszowskim z wielkiej molierowskiej prawdy o epoce? To, co nie dało się zgubić: owe tasiemcowe monologi o obłudzie, z któ-



Fot. JACEK FISCHER

przeciw Molierowi i zawala piramidę wiary w Don Juana jako bluźniercę? Pewnie dlatego, że Don Juan, jak wielki kobieciarz jaśnieje na widok byle jakiej spódniczki i wkłada serce w to, co ma być strategią, wypływającą z drażniącej przekory. Karolka i Małgorzata stały się obiektem chwilowej, być może, ale namiętności, a to już nie ma wiele wspólnego z Molierem.

Rzeszowski Don Juan słuha w I akcie Elwiry — Ireny Chudzikówny. Słuha naturalnie i u Moliera, ale tam Elwira go bawi, nie tyle jako kobieta, ale jako sytuacja, którą sprowokował i przewidział. Tu słuha i nie wiem dlaczego? Elwira zachowuje się jak prawdziwa sekretnica, nie zaś obrażona pani; ona chce być zimna, jest zaledwie nianka i na pewno niekulturalna jako dama wychowana w klasztornych rygorach. Rzeszowski Don Juan nie powinien być znudzony w takiej sytuacji, ale obrażony podbojem tak łatwym i tak fatalnie się zachowującym; bez godności.

Tyle, żeby nie zapomnieć, iż mamy do czynienia z mitem uosabiającym podboje kobiece. Ale Molierowi nie szło o mit wiecznej gotowości do podboju, gotowości serca i temperamentu; jego Don Juan miał być buntownikiem przeciw temu mitowi. Buntownikiem przy tym myślącym, jak powiedziałam, a gdzie w takiej interpretacji szukać myślenia? W lataniu za spódniczką, która zostawia czystą męską podniętą w efekcie?

Don Juan kpi z Karolki i Małgorzaty, cieszy się występkiem amoralnym, jakim było porwanie Elwiry. Cieszy się i kpi jednak tylko u Moliera...

Don Juan prowadzi dysputy ze Sganarellem. Prowadzi je dla zabawy, dla hazardu, wreszcie by wyśmiać tę chłopką, dociekliwą moralność, która czyni ze Sganarellą nie tyle chłopka-roztropka, jakiego zaproponował nam Adam Fornal, ale człowieka, który myśląc, przeczuwa krakę pańskiej amoralności. Sganarell podziwiał odwę, co fa się przed konsekwencjami. Chce mieć spokój i wyrzeka się go jednocześnie, pozostając przy boku Don Juana. Wyobraźmy sobie tego Sganarellę w jego pokoiku, kiedy rozważa wszystkie pro i kontra własnej polityki; przecież ten człowiek umiera z niepokoju, usiłując uczynić rozsądny wybór. Sganarell Fornala był beztruskim osiłkiem, obudzonym dopiero na widok gromu i ognia, kiedy krzycząc namiętnie o zasługi, zdał sobie może wreszcie sprawę z własnej głupoty. Był jednak zbyt stary, by mu ta lekkomyślność była wybaczona.

rymi Don Juan — Kiziułkiewicz szedł do widowń. Piękne monologi. Dramatyczne, drapieżne, nieobco brzmiące i dziś.

Ale tu Kiziułkiewicz przeholował, dał portret nagle obcy, nie z tej konwencji, nie z tej komedii. Chłostał satyrę, która znowu miała być u Moliera środkiem do nieustannych transformacji umysłu Don Juana; chłostał satyrę, stając się sumieniem narodu. Można i tak, ale czy można wtedy, kiedy przedtem bezkarnie łapało się w ręce cudze spódniczki, rozgrywało się w zniecierpliwieniu dialog z żebrakiem i dając mu monetę, rzuciło się owo syne „pour l'amour de l'humanité” (w imię ludzkości) jakby nie rozumiejąc sensu tego zdania, skonstruowanego na przekór miłości Boga.

Rzeszowski Don Juan jest szlachetny w scenie, kiedy tak patetycznie piętnuje obłudę, bo rozumie skłócić owego zła społecznego i nie solidaryzuje się z nim. Don Juan jest niekonsekwentny jednak, szukając w tej obłudzie ucieczki przed awanturami i obawą rozszyfrowania go przez środowisko; obłuda towarzyszy mu przecież nieustannie w jego uczynkach. Nawet obłuda przed sobą. Stąd pewnie ów tragiczny finał.

To bardzo skomplikowany dramat ten „Don Juan”, nazwany w skromności (i być może chytrych) przez autora komedia. Pisać by o nim można nieskończenie. Nie ma powodów z racji rzeszowskiego przedstawienia, bo odjęto ono sztuce wszystkie niepokojące świadomości, zostawiając płytka fabułę i ocalając nikogo dziś już nie pasjonujący mit o możliwości wiecznego kochania. Szkoda.

Powiem tylko, że moje wcześniejsze zaniepokojenie tym typem repertuaru potwierdziło się. „Don Juan” wymaga wielkiego przemysłu; sam się obroni i nie trzeba go stroić w nowoczesne rzekomo interpretacje. Eksperyment w klasycznej teatrze to bardzo wielka odpowiedzialność; nigdy nie doradzałabym go żadnemu teatrowi wbrew jego możliwościom.

P. S. Dołożył jeszcze, że zobaczyliśmy w „Don Juanie” rzeczywiście piękne scenografie i tak pomyslna przez Jerzego Szymańskiego, że mogłaby stanowić oprawę dla zupełnie różnych koncepcji tej sztuki. Wydaje mi się to walorem niepośledniej wagi.

Teatr im. W. Szymanowskiego: Molier — „Don Juan”. Przekład: Apollo Korzeniowski. Reżyseria: Elwira Turska. Asystent reżysera: Adam Fornal. Muzyka: Fr. Barffus. Scenografia: Jerzy Szymański. Osoby: J. Kiziułkiewicz, A. Fornal, I. Chudzikówna, I. Erwan, H. Gońda, Z. Bartoszek, J. Ulatowska, A. Bieńkiewicz-Kujalowiec, Z. Zaręba, J. Jachowicz, A. Girtler, W. Mierzyński, E. Apa. Premiera 19 II 1966 r.

Korespondencje • Polemiki • Dyskusje

Zjawisko, którego nie chce się widzieć

Współczesne zjawiska i problemy, które narastają z dnia na dzień staram się rozumieć i zgłębić po prostu czytając czasopisma, a przede wszystkim tygodniki. Należy stwierdzić, że nasza publicystyka doskonale dostrzega zjawiska i problemy bieżącego dnia, naświetla je, dochodzi do ich źródeł, a nawet podaje recepty, jak je rozwiązywać, z korzyścią dla społeczeństwa. Ale tutaj wyłania się niejako pochodny problem: czy diagnozy i wskazania publicystów są przez adresatów brane pod uwagę?... studiowane?... realizowane?... To zasadnicze pytanie — na tym miejscu retoryczne — pozostawiam bez odpowiedzi, nie jest to w tej chwili moim celem. Ale warto się nad tym zastanowić.

Po tym niejako wstępie, przenieśmy się na polską wioskę, na razie nie współczesną jeszcze, ale tę dawniejszą. Wówczas też rozdali się ludzie o twórczych uzdolnieniach. Warunki do rozwoju mieli jednak minimalne. Jeśli nawet dawali im wyraz, to jako autorzy niemal z zasady anonimowi. Wyjątkowo nazwisko takiego czy innego twórcy zostało przekazane potomności. Z naszych terenów wymienię chociażby chłopskiego poetę, Raka z Husowa, czy malarza w XVIII w., chłopca pańszczyźnianego ze Strykwa, pow. Rzeszów, Tomasza Mendyka. Czy my dzisiaj możemy powiedzieć, kto skomponował melodie, którymi Mazowsze i Śląsk podbijają świat? A kto układał rżewne ballady, pieśni miłosne czy epickie koledy średniowieczne? Improwizacje wykonywały na weselach czy zabawach żywiłowo. Dziś te rzeczy zapisuje się, reprodukuje, stylizuje, ale... ile przepadło?

W ostatnich czasach — liczących dopiero na dziesiątki lat — prosty człowiek dostał do ręki nowe narzędzie — o jakim marzył w ciągu wieków — pióro. I — kiedy dawniejszy ludowy poeta, gawędziarz czy nawet historyk, mógł swoje utwory przekazywać jedynie z ust do ust, anonimowo, to dziś może to napisać i podpisać się. Wielokrotnie mogą to być utwory pod względem stylistycznym nawet niezdarne, z błędami ortograficznymi i bez znaków pisarskich, ale często ze śladami wielkich uzdolnień.

Tu pozwolę sobie przypomnieć mój własny artykuł, zamieszczony w „Życiu Literackim” (nr 8) pt. „Wśród twórców ludowych Rzeszowskiego”, a także inne drukowane w „Kulturze”, „Kamieniu”. Właśnie na temat pisarskiej pasji, jaką coraz częściej można spotkać na wsi. Wykazywałem też, że zjawisko to można wydatnie poszerzyć dla dobra ludowej kultury, ale...

Województwo rzeszowskie chlubi się Romanem Turkiem i słusznie; jest się kim chwalić. A jest to pisarz w całym tego słowa znaczeniu ludowy. Stał się pisarzem płodnym i to — na stare lata. Ostatnio został przyjęty do Związku Literatów. Nie wiem, w jaki sposób Turzek został „ujawniony”, ale jestem pewien, że ktoś mu w tym dopomógł; ktoś mądry i zyczliwy. To jednak bynajmniej nie umniejsza znaczenia Turka, ale i „Tamten ktoś” ma zastępcę.

A teraz pytanie; już nie retoryczne, ale całkiem konkretne: czy województwo rzeszowskie, słynne z wysokiego poziomu kultury ludowej, było stać tylko na jednego Turka? Czy jest aż tak ubogie?

W cytowanym artykule z Życia Literackiego wymieniałem cały szereg pisarzy ludowych. Od tego czasu

minęło przeszło dwa lata. W międzyczasie „znalazło się” cały szereg nowych postaci. No i co z tego? Czy tymi ludźmi zajęto się, niejako od „urzędowej” strony, dysponującej większymi możliwościami aniżeli indywidualna, chociażby najgorętsza nasza? Czy do tej akcji nikt nie jest powołany?... zobowiązany?

Zaczniemy od wydziałów kultury różnych szczebli, aż do Wydziału Przemysłu WRN. W sumie biorąc, jest tego spora gromada ludzi, zresztą mających obowiązek opiekowania się kulturą. A czy pisarstwo chłopie nie należy do zagadnień kultury? Przecież to ogromny aparat, rozporządzający licznymi możliwościami i środkami. Czy zajmuje się tym problemem?

Dalej; są referaty kultury przy licznych instancjach, związkach... Jest w Rzeszowie „Klub Literacki” i „Kolo Literackie” przy ZMW.

Wreszcie są na terenie województwa liczne „Towarzystwa Kulturalne” czy „Towarzystwa Miłośników...” różnych regionów czy zespołów regionalnych. Na ich czoło wysuwają się: „Towarzystwo Przyjaciół Nauk” w Przemyslu i „Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki” w Rzeszowie. Jeśli chodzi o Przemyslu, to TPN i działający w nim ludzie nastawieni są na historię. Otrzymał wtedy Przemyslu „Stację Historyczną” PAN — ostatnio idą starania o „Stację Archeologiczną” i życzy należy, żeby otrzymali — i właśnie Przemyslu zorganizował działających na terenie województwa historyków — amatorów. Urządza się tam zjazdy, posiedzenia naukowe, dyskusje itp. A Rzeszów?

O Towarzystwie PNiS w Rzeszowie trudno powiedzieć, czym się konsekwentnie zajmuje; poza wydawaniem zbiorczych sprawozdań — drukowanych różnych instytucji i zakładów. Kiedy w kręgu działalności TPNiS znalazł się pisarz ludowy, którego praca otrzymała entuzjastyczną recenzję przedwydawniczą, świadcząca, że Rzeszowskie nie jest ubogie — rozpoczęła się kotowijka. Praca chłopca, nad którą zachwyca się wybitny uczeń, nie jest poszerzonym sprawozdaniem, jest pracą wybitnie syntetyczną. A są pieniądze na wydanie pracy, jest wydawnictwo...

Wydaje mi się, że jedna z czołowych trosk czynników kulturalnych winna być kultura ludowa, w tym i pisarstwo ludowe. A czekało tyle wieków, aby się „ujawniło”. Czemu pisarze ludowi nie poświęcają swojej uwagi, jakie rodzaje twórczości uprawiają? Tedy ktoś powinien się tym zająć, poza indywidualnymi „mecenasaми”, ubogimi w środki.

Wracam do poruszonego problemu — stacji czy placówek naukowych PAN w terenie, poza wielkimi ośrodkami. I znowu pytanie: a Rzeszów? Czyżby pod tym względem nie miał ambicji?

Kogoś, kto się może oburzy na mnie za powyższe słowa, odsyłam do Biblioteki Wojewódzkiej, do katalogu, a w nim do działu prac regionalistycznych, opracowań o kulturze ludowej Rzeszowskiego. Zobaczy, że wyszło ich sporo, że ten temat to nieprzebrana kopalinia. Tedy: czy nie należałoby — już chociażby ze względów ambicjonalnych rozpocząć starania, jeśli nie o placówkę (dwie wyższe uczelnie), to przynajmniej o stację PAN, której terenem działalności byłaby kultura ludowa naszych regionów. W tym sek, że ktoś musi się tym zająć szczerze, z pasją. Ileż możliwości dla zaspokojenia zdrowych ambicji!

FRANCISZEK KOTULA

Działalność rzeszowskiego GŁÓWNEJ BIBLIOTEKI

Rzeszowski Oddział GBL, który powstał w 1956 roku wchodzi w skład sieci bibliotek podległych Ministerstwu Zdrowia i Opieki Społecznej. Bezpośredni patronat nad pracą Oddziału sprawuje Główna Biblioteka Lekarska w Warszawie.

Księgozbiór Oddziału tworzą: druki zwarte, odbitki, czasopisma, tablice anatomiczne i płyty. W latach 1959—1964 liczba woluminów (druki zwarte) uległa podwojeniu w stosunku do lat poprzednich. W dziale czasopism potrójono liczbę kompletnych roczników. Biblioteka posiada spis niekompletnych roczników czasopism, które pochodzą przeważnie z darów, i gromadzi swe zbiory drogą centralnego zakupu poprzez Centralną Bibliotekę Lekarską w Warszawie. Ma to swoje dobre i złe strony. Na podstawie katalogów placówka wysuwa swe dezyderaty pod adresem centrali.

Oddział mimo braku wyodrębnionego działu informacyjno-bibliograficznego, spowodowanego szczupłą obsadą personalną kładzie duży nacisk na ten odcinek pracy. Bibliotekarze udzielają różnego rodzaju informacji. Opracowywane są zestawienia bibliograficzne. Takich zestawień opracowano w 1965 r. około stu. Oprócz tego typu informacji placówka udziela informacji telefonicznych i ustnych w zakresie piśmiennictwa medycznego. Pomocnymi w pracy bibliotecznej są polskie i obcojęzyczne biblio-

grafie z zakresu medycyny. W zakresie opracowania kompletnych zestawień piśmiennictwa medycznego na dany temat biblioteka współpracuje z Główną Biblioteką Lekarską w Warszawie. Informuje się czytelników o sposobach korzystania z księgozbioru tej placówki, jej katalogów i korzystania z księgozbioru podręcznego czytelnika. W 1965 r. odwiedziło bibliotekę około 400 czytelników. Najliczniejszą grupę stanowili lekarze, następną: farmaceutki, lekarze weterynarii, biologowie, psychologowie i nauczyciele. Nieliczna stosunkowo liczba czytelników stanowią studenci i personel pomocniczy służby zdrowia.

Udostępnienie zbiorów Oddziału odbywa się przez wypożyczalnię i czytelnicy oraz wypożyczalnię międzybibliotecznej. W 1965 r. wypożyczalnie odwiedziło ponad 2 tys. osób, a czytelnicy około 1500 osób. Z wypożyczeń międzybibliotecznych skorzystało 200 czytelników. Droga wypożyczeń międzybibliotecznych sprawada się książki nie tylko z Główniej Biblioteki Lekarskiej w Warszawie, lecz także Oddział współpracuje w tym zakresie z bibliotekami Akademii Medycznych w kraju.

Najliczniejszą grupę czytelników stanowią lekarze, zdobywający specjalizację. Lekarze po ukończeniu już specjalizacji oprócz literatury fachowej korzystają z czasopism medycznych w różnych językach. Lekarze-stażystki koncen-

► Korespondencje • Dyskusje • Polemiki • Korespondencje •

Kilka słów o piosenkarstwie...

Słowo: „piosenkarstwo” oznacza sztukę wykonywania, za pomocą niedużego głosu, rozrywkowych, sentymentalnych, bądź charakterystycznych piosenek. Rozpowszechniło się ono u nas właściwie przed kilkoma laty, chociaż sztuka piosenkarstwa znana nam była i wcześniej.

Była ona np. od dawna uprawiana we Francji, gdzie chanssonette (piosenka) zawsze rozbrzmiewała na ulicach i w kafejkach Paryża. Była ona ponadto uprawiana przez wielkich artystów, którzy stworzyli własny styl piosenkarstwa. Taki swoisty styl stworzył ongiś, jedyny w swoim rodzaju piosenkarz rosyjski Aleksander Wertyński. Przykładem niezrównanego mistrzostwa smętnej piosenki może być Francuzka Lucienne Boyer. W Polsce międzywojennej sztuka piosenkarstwa po mistrzowsku uprawiali sławna Hanka Ordonówna, mniej może od niej popularna, ale bodajże jeszcze bardziej utalentowana Dela Lipińska oraz kilka innych.

Byli to wszyscy artyści o wybitnej indywidualności twórczej. Stworzyli mnóstwo niezapomnianych kreacji piosenkarstwa. Zazwyczaj występowały one na wielkich, własnych koncertach, jak to dziś jeszcze czyni Marlena Dietrich.

Piosenkarstwo, jako specyficzna sztuka, była dawniej — jak już wspomnieliśmy — uprawiana przez dość nieliczną grupę utalentowanych wykonawców, jeśli zaś idzie o „masowe” wykonywanie „przebojów”, to śpiewano je wówczas inaczej.

O ile współcześni Polacy mają bżaka na punkcie piosenkarstwa, o tyle Polska międzywojenna miała bżaka na punkcie tanga. Tanga (obok kilkakrotnie mniejszej ilości bostonów, rumb i foxtrotów) produkowano po prostu hurtem i popularność wielu z nich była wszystkie rekordy. Ale tanga te były zazwyczaj melodiami o charakterze mniej lub więcej kantylenowym, nadającym się do śpiewania dużym głosem, toteż śpiewane były nie po „piosenkarstwu”, a raczej po „pieśniarstwu”, a nawet po prostu „po śpiewaczkach”. Śpiewali je bowiem nie tylko Mieczysław Fogg, Tadeusz Faliszewski, Eugeniusz Bodo i im podobni, ale nie gardzili przebojami i operowi śpiewacy: Stanisław Gruszczyński, Jerzy Czaplicki, Nina Grudzińska, a już tym bardziej nie gardził nimi i sam... Kie-pura.

W tych warunkach wykonawstwo „przebojów” było udziałem ludzi o dość bogatych danych wokalnych.

Po wojnie w rozrywkowej literaturze muzycznej na pierwszy plan wysunęła się „piosenka”, pisana po większej części w ten sposób, że wykonanie jej nie wymaga dużego głosu, raczej dobrego władania małym głosem oraz dobrej dykcji. Obecnie piosenkarstwo stało się u nas tak szalenie modne, że często nawet poważniejszej klasy śpiewacy, chcąc zdobyć większą popularność i większe zarobki, usiłują przereżać się na repertuar piosenkarstwa.

Jak każda dziedzina, tak i piosenkarstwo ma swoich wrogów i swoich entuzjastów. Pierwsi mówią, że piosenkarstwo — to zwykła chałtura — to „śpiew bez głosu”, drudzy zaś (zwłaszcza duża część młodej generacji) twierdzą, że godne uwagi jest właśnie tylko piosenkarstwo, a nie nudny śpiew. Trudno. Sławny pianista Stanisław Szpilowski powiedział kiedyś, że do muzyki każdy ma takie podejście, na jakie go stać...

Ponieważ piosenkarstwo nie wymaga dużego głosu, a ponadto obecnie na scenie pojawił się poczciwy mikrofon, gotowy każdy głos sztucznie powiększyć, wielu młodych mężczyzn, a jeszcze częściej dziewcząt, mających trochę słuchu i mocących... przetrwać piosenkę od początku do końca, uważa się za artystów i że tylko przez niesprawiedliwość i brak „pleców” nie święcą triumfów Rolskiej czy Przybylskiej. Gdy przed pa-

roma laty Polskie Radio ogłosiło konkurs dla piosenkarzy — amatorów, zgłosiło się aż... 6.000 osób. Fakt ten mówi sam za siebie...

W rzeczywistości piosenkarstwo jest sztuką niesłychanie trudną. Aby pokazać za pomocą małego głosu całe bogactwo i całe ciepło piosenki, trzeba naprawdę dużego talentu aktorskiego i muzycznego. Ktoś złośliwie powiedział, że śpiewakowi łatwiej, bo śpiewa do brym głosem dobrą muzykę, a piosenkarz złym głosem... złą muzykę. No cóż, bywa niekiedy i tak...

Bo oto proszę — jeśli ktoś, kto się zna na muzyce i usłyszy śpiew Calas, czy grę Horowitza lub Heifetza, nie wiedząc, kto jest wykonawcą, wówczas powie: co za wspaniały artysta! Kto to? No a jeśli usłyszy nagrania Helen Shapiro, to powie, to jakaś dobra piosenkarzka i tyle. Gdyby inny muzyk chciał się podzielić pod Heifetza, czy Rubinstejna, nie mógłby tego zrobić i tak samo trudno byłoby „podrobić” Ivesa Montandę czy Elle Fitzgerald, ale jest niemało światła, rozreklamowanych piosenkarzów gwiazd, które gdyby zastąpić innymi nieznanymi osobami, młodzień w Sali Kongresowej, nie wiedząc o tym, darłaby się tak samo...

Proszę bardzo — słuchamy międzynarodowych festiwali sopokkich, słuchamy w finale całej plejady wyróż-

nionych gwiazd, ale słuchacz nie zapamięta nawet jednego nazwiska, bo wszyscy wykonawcy — owszem do brzy — ale żaden nie wywiera jakiegoś naprawdę niezapomnianego, niezatartego wrażenia.

I u nas w Polsce w dziedzinie piosenkarstwa tak samo. Obok prawdziwych talentów, cieszących się zasłużoną sławą są i mierne, które niekiedy dzięki takiemu czy innemu poparciu potrafią wybić się i „robić karierę”. Nieraz rzeczywiście się zdarza, że w jakimś mało znanym lokalu zawieruszy się piosenkarzka lepsza od jakiejś niesłusznie rozreklamowanej gwiazdy, której słuchając, niejedna zdolna amatorka słusznie myśli — a czymże ja gorzej? Sprzyjają temu w znacznym stopniu wyżej wspomniane charakterystyczne cechy piosenkarstwa, a mianowicie właśnie to, że w piosenkarstwie „udawanie mistrza” (brzmi to bezsensownie, ale tak właśnie jest) jest bardziej możliwe niż w innej dziedzinie sztuki, bo powtarzam, piosenkarstwo w większości wypadków, ma w ogóle skromne możliwości — może dać miłe, przyjemne wrażenia i tyle, natomiast po to, aby te granice przekroczyć, aby piosenka naprawdę porwała lub naprawdę wzruszyła, potrzeba rzeczywiście wielkiego artysty, który nie tak często się zjawia...

WŁODZIMIERZ ZALIŃSKI

Związkowcy na Tysiąclecie

Działalność kulturalno - oświatowa i wychowawcza związków zawodowych ma niemałe tradycje i stanowi poważny wkład w ogólny dorobek kulturalny narodu w dwudziestolecie Polski Ludowej.

Sprawie dalszej aktywizacji życia kulturalnego środowisk robotniczych ma służyć ogłoszony przez Prezydium i Komitet Wykonawczy CRZZ Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych, trwający od stycznia br. do stycznia 1967 r. Jest on zarazem okazją, w ostatnim roku Tysiąclecia Państwa Polskiego, do spojrzenia na przebyta w minionym okresie drogę.

Nie wiem ile sprawozdań z przygotowań do Festiwalu w woj. rzeszowskim powędrowało już do Warszawy z Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych, faktem jest natomiast ogrom przygotowań i prac organizacyjnych, co powinno w dużym stopniu zdecydować o powodzeniu tej zakrojonej na dużą skalę inicjatywy. Tak np. we wszystkich okręgach poszczególnych związków zawodowych odbyły się robocze narady kierowników placówek, instruktorów i bibliotekarzy, poświęcone omówieniu założeń organizacyjnych i programowych festiwalu, jak również przeanalizowaniu programów zespołów artystycznych.

Działający, dość zresztą energicznie, Wojewódzki Komitet Organizacyjny potrafił nawiązać współpracę z zainteresowanymi organizacjami. Np. Zjednoczenie Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych zapewniło zespołom wokalnymi i instrumentalnym repertuar, a instruktorzy Zjednoczenia i Związku Teatrów Amatorskich udzielają porad z zakresu przygotowywanego przez zespoły repertuaru. Komitet ustalił również plan przeglądów środowiskowych wszystkich form artystycznych w placówkach (od 1 maja do 15 czerwca) i przeglądów okręgowych branżowych związków zawodowych (15 sierpnia do 30 września) oraz imprez wojewódzkich.

Do przewidzianego regulaminem festiwalu współzawodnictwa placówek kulturalno - oświatowych o najlepszy program i najszerzy zasięg działalności w naszym województwie zgłosiło swój udział oko-

...z religią w obrządku słowiańskim

W artykule „Na tropach państwa Wiślan i Chorwatów — Widnokrąg z dnia 13 III 1966 r. wkraśnia się zasadnicza omyłka w zdaniu, w którym jest mowa o prowincji kościelnej arcybiskupa pannońskiego Meto-dego. Zdanie winno brzmieć następująco: „W celach pokojowej misji mogli być użyci misjonarze arcybiskupa pannońskiego Meto-dego, który stworzył prowincję kościelną z religią w obrządku słowiańskim”.

ANDRZEJ JAGUSZTYN

ło 150 placówek, tj. wszystkie zakładowe domy kultury, kluby fabryczne, świetlice zakładowe, międzyzakładowe i międzyzwiązkowe. Nie wezmą w nim udziału jedynie, ze względu na ograniczony zasięg działalności, niektóre mniejsze placówki, tzw. kąciki świetlicowe, szczególnie z pionu Zw. Zaw. Pracowników Handlu i Spółdzielczości oraz Pracowników Rolnych. Szanse oczywiście są nierówne, biorąc pod uwagę kilku potentatów, jak np. „Stalowa Wola” czy WSK Mielec, Rzeszów i inne, niemniej jednak współzawodnictwo wszystkich jednakowo zobowiązuje.

Celem organizowanego przeglądu ruchu amatorskiego, do którego zgłosiło się około 300 zespołów, będzie rozwój zainteresowań kulturalnych wśród szerokiego kręgu społeczeństwa. Założeniu temu wychodzi naprzeciw decyzja organizowania w naszym województwie przeglądów wojewódzkich poszczególnych form artystycznych w różnych ośrodkach. Tak np. przegląd teatrów dramatycznych odbędzie się w Rzeszowie, teatrów słowa w Tarnobrzegu, chóry wystąpią w Krośnie, orkiestry w Sanoku, zespoły taneczne w Sarzynie, przegląd zespołów dziecięcych w Mielcu. Podobnie przedstawia się sprawa organizacji imprez środowiskowych. Np. przegląd zespołów dramatycznych Zw. Zaw. Pracowników Rolnych odbędzie się w jednym z przodujących gospodarstw — PGR Zawada w pow. Debica. Nie wymieniam tu oczywiście wszystkich form artystycznych, które obejmuje festiwal, ani też miejscowości, w których odbędzie się imprezy. Warto jednak wymienić konkurs na wspomnienia z zakładów pracy. Chociaż jest to tytuł innego konkursu, posługując się tym hasłem, apelujemy: zakłady pracy czekają na swych Tacytów!

Chyba nie mniej zainteresowania wśród załóg zakładów pracy wzbudzi planowany plebiscyt „Poznajemy film polski roku 1965”. Pozwoli on na uzyskanie opinii o polskich filmach rozprowadzanych w 1965 r. oraz polepszenie pracy kin związkowych. Organizatorzy przewidują, że po zakończeniu plebiscytu w kinach, które uzyskały najlepsze rezultaty, odbędą się spotkania z twórcami filmu, który uzyskał w województwie największą ilość głosów. Częścią składową festiwalu jest również ogłoszony przez redakcję „Głosu Pracy” konkurs-plebiscyt „Blżej książki współczesnej”. Komitet organizacyjny dokonał już na jednym z ostatnich posiedzeń oceny jego przebiegu w placówkach związkowych. Wykazała ona najliczniejszy udział w plebiscycie członków Związku Zawodowego Metalowców.

I na zakończenie. W miarę możliwości będziemy się starali informować o przebiegu poszczególnych imprez, a związkowcom woj. rzeszowskiego wypadła życzyć zdobycia uznania społeczeństwa oraz sukcesów na przeglądzie ogólnopolskim.

(stanski)



Jest taki program, który obok „Kabaretu Starszych Panów” (niestety, pewno przeszli już do historii) zajmuje nieco pionierską pozycję w tworzeniu rozrywkowym naszej telewizji, stanowiąc propozycję oryginalną, przystosowaną tylko do małego ekranu. Mowa oczywiście o „Listach śpiewających” Agnieszki Osieckiej, które od paru miesięcy prezentują nam najlepsi piosenkarze i aktorki. Pamiętacie chyba jeszcze te sympatyczne pary: pełnych wdzięku i dowcipu — Elżbieta Czyżewska i Andrzej Szczepkowski, melancholijną Kalinę Jedrusik i roz-targnionego Wieńczysława Głińskiego? Będziecie na pewno pamiętali ostatnią: Annę Prucnal i Wiesława Gołasa, których otaczał wianuszek znakomitego aktorstwa Kobieli, Pokory, Kobuszewskiego, Czechowicza i Niewinowskiego.

Myślę, że dobrze się stało, iż autorka listów poszerzyła krąg wykonawców, bo audycja nabiera cech dynamizmu, przekreślając pewną monotonię i tylko dwójga zakochanych. Choć wszystkie te zakochania, zgodnie z przymownym duchem Osieckiej, niosą już w założeniu odrobinkę drwiny, ironicznej „niemożności”, stawiając uczucie przynajmniej jednego z partnerów pod znakiem zapytania. Są dowcipną i zarazem sentymentalną drwiną z odwiecznego afektu. I na pewno lepiej tak mówić o miłości, bo łatwiej ominąć nudę i łatwiej przy tym być oryginalnym; Osiecka wie jak się robi piosenkę...

Ostatnie „Listy” zatytułowane „Baba w babie” i reżyserowane przez Dziewońskiego „trzymała” na uwadze dobrego aktorstwa i znakomitego piosenkarstwa arcyempatyczna Anna Prucnal, którą tak niezmiernie rzadko można oglądać w telewizji. „Baba w babie” pozwoliła jej błysnąć oczywiście wszechstronnie, niemniej mnie osobiście zachwylił jej głos — dojrzały, pięknie i czysto brzmiący, swobodny, świetnie interpretowany. I dlatego jej piosenka „Powiedźcie jak tu mnie nie lubić” powinna stać się bestsellerem na przeciąg najbliższych miesięcy, czyniąc z telewizji poważnego konkurenta radiowych piosenek miesiąca. Bo i jakże nie lubić miłych słów, dobrej muzyki i ślicznej aktorki o autentycznym wdzięku?

Ubiegły piątek minął w telewizji pod znakiem primaaprilisowych dow-

TADEUSZ KUBAS PRZECIWIW KONWENCJI

amputuje czasowi kończy i skrzydła

ogłaszam trwałe bezruch wszech jego obszarów

wymyślne miecze wskazywać zegarów — tnące włókno życia na śmiertelne części — są mi zapisem przemierzania w czasie



cipów, z których bez wątpienia najlepszy był ten z pięcioczątkami Ludwika Benoit i żarcikami z Syrenką na planiszy warszawskiej. Nieco gorzej wypadło pierwszokwartynowe clou programu, czyli „Zyczymy dobrego odbioru” z Edytą Wojtczak od stóp do głów, przemienioną w syrenę i... bardzo sztuczną. Przyzywaczem do wielkiej swobody naszej spikerki reagovaliśmy na jej „aktorstwo” z odrobiną zniecierpliwienia, tym bardziej że poza świetnym Jaremą Stępowskim i jak zwykle szaloną Aliną Janowską, która nawet w głupawym tekście o jarzynach Bony potrafi pasjonować, aktorstwo nie było najlepszą stroną tego programu. Dobry pomysł skojarzenia rzeczywistości z legendami o pierwszych Polanach, niestety zawiódł. Pozostało parę dowcipów (i.e. Gniezno Pasters — świetny!), mniej nieszłych melodii, pomysł z Edytą Syrenką i raczej ogólne wrażenie znowu nieudanej rozrywki. Mimo wszystko ten typ programu nie jest łatwy w realizacji; rzadko możemy nim zachwycać, częściej straszę dzwawactwa, jak choćby to sobotnie „Ze starego albumu”, którym znowu nie uczestowały Katowice. A już to nieraz przecież pisałam, żeby Katowice były taktowniejsze i dały nam spokój ze swoim staroświeckim modelem zabawiania widza...

Z dwóch teatrów ubiegłego tygodnia (wyjątkiem „Krośno” — słowny spektakl zaprezentowany z Au-ubertim „Zio krąży”, reżyserowane przez Woronikiewicza, na pewno wielu odbiorców szokowało swoim aowcipem, opartym za persyjazą i nonsensu oraz swoową erozycją. Szokować musiał, bo jest to teatr wywodzący się od słynnego „Ubu — krola” Jariego, oczywiście nieco stonowany w swojej ostatecznej, wymowie, nieco mniej awangardowy na swoje czasy, ale mimo te odmienności i tak cenie kładący satyrę ponurych bourgeois i ich schematy moralne. Jak zwykle pyszny Chamiec, jak zwykle znakomity Benoit i sąjandziowaty Zintel dopełniali uroki krąjącego zia.

O „Horsztynskim” Słowackiego przyrządzonym dla telewizji przez Kreczmara powiem tylko, że nie lubię klasyki na małym ekranie. „Horsztynski” przeżywa swój sceniczny renesans i to dobrze, bo dramat uważam za rzeczywiście piękny, ale nie lubię, gdy zostaje zeń tylko kilka znakomicie zagranych odson i jedno denerwujące wspomnienie z dokrętki filmowej (Maryna w łódce na stawie, w którym nieomal słyhać pluszczące rybki). Łamię mi ta naturalistyczna dokrętka całą koncepcję teatru Słowackiego i razi mnie. Co nie znaczy, że nie powiem tu ciepłych słów o Hańcy — aktorce genialnym, który grał tytułową postać jak przystało na wirtuoza sceny polskiej.

Z innych programów powiem, że największą niespodzianką zgotowała nam Nana Mouscouri — piosenkarzka tyleż znana, co pięknie śpiewająca, że nieźle się zapowiada nowy cykl filmowy „Perły i dukaty”, który oglądałmy w niedzielę pod nazwą „Markiza de Pompadour”, że ze wzruszeniem oglądałam „Panią Miniver” z niezapomnianą Greer Garson, bo był to jeden z pierwszych powojennych filmów, na którym przed następną laty bardzo się spłakałam, a który dziś winien nosić podtytuł „Z przemianami czasu, konwencji i gustów” i że „10 minut recenzji” o „Słówkach” Boya, zaprzeczając temu przemianom, jako też starzeniu się celnej literatury zielonobalonikowej.

Korzysta

Na naszych ekranach

JAMES STEWART

Jedną z cech dzisiejszego kina zdających się świadczyć o nadchodzącym zmierzchu jego potęgi jest brak nowych, fascynujących gwiazd zdolnych olśnić miliony widzów na całym świecie. No bo i kogoż można wymienić z młodej generacji aktorskiej? Natalię Wood, Claudię Cardinale, Monikę Vitti? Gdy dodamy do tego nieco starszą już Brigitte Bardot, Jeanne Moreau, Zofię Loren, Audrey Hepburn, będziemy mieli niemal komplet aktorów porównujących widza zarówno urodą, jak i talentem. W gronie gwiazdów sytuacja jest jeszcze bardziej ponura. Nasze panie z braku młodszych i zdolnych amantów zmuszone są zachwycać się Gregory Peckiem, Cary Grantem, Johnem Wayne, dżentelmenami czarującymi, ale raczej już podtatusiatymi.

Tymczasem to co dzisiaj jest raritatem, jeszcze przed 30 laty liczyło się w kinie na tuziny. Na ekranach błyśzczały gwiazdy dwudziestu i dwudziestokilkuletnie takie, jak Greta Garbo, Marlena Dietrich,

skowych Pentagon mianował go generałem lotnictwa.

Po powrocie do studia gra w głośnym filmie „Mr. Smith jedzie do Waszyngtonu” i „Kulisach wielkiej rewii” (ten ostatni wyświetlała niedawno nasza telewizja). Następne lata wykazują jego wszechstronne zdolności aktorskie. Do ról dramatycznych i komediowych dodaje nowe — w „Winchesterze 73”, „Mścicielu z Laramie” i innych filmach westernowych. Jego szczytowym osiągnięciem w tej dziedzinie jest rola prawnika w filmie „Człowiek, który zabił Liberty Valance'a” wyświetlanym u nas w roku ubiegłym. Adwokatem był także w nieco wcześniejszej „Anatomii morderstwa” Otto Premingera, dziennikarzem — fotoreporterem zaś w „Oknie na podwórzu” Alfreda Hitchcocka. Za rolę w „Anatomii morderstwa” otrzymał nagrodę dla najlepszego aktora na festiwalu weneckim w 1959 roku, za Mr. Hobbsa — nagrodę na festiwalu w Berlinie w 1962 roku.

James Stewart staje się jednym z najbardziej popularnych aktorów hollywoodzkich, mimo że jego głównym atutem nie jest już uroda. Ten starszy pan o młodzieńczej sylwetce jest po prostu niezwykle ujmujący, jego grę cechuje wielka prostota, bezpośredniość i inteligencja. Równie znakomicie potrafi odtwarzać szlachetnych kowbojów, jak i najbardziej skomplikowane postacie dramatyczne czy komediowe.

Rola w filmie „Mr. Hobbs na urlopie” nie jest jego ostatnim słowem. Na Zachodzie wyświetlany jest obecnie film reżysera Roberta Aldricha „The Flight of the Phoenix”, w którym James Stewart gra pilota samolotu lądującego przymusowo na Saharze. Rozbitkom po dwudziestu dniach grozi śmierć z pragnienia. Mimo trudnej sytuacji jeden z pasażerów, konstruktor, namawia pozostałych do realizacji swojego pomysłu — budowy z rozbitej maszyny nowego samolotu. 58-letni Stewart — jeśli wierzyć krytyce amerykańskiej i angielskiej — jest w tym filmie znów znakomity.

(twis)



Francesca Gaál, Carole Lombard, Mae West, Jean Harlow, Joan Crawford, Robert Taylor, Clark Gable, Gary Cooper, Errol Flynn, Frederic March i mnóstwo innych, których tu wyliczyć nie sposób. Młodzi ludzie szturmem zdobywali ekran, który wówczas właśnie dopiero co przemówił i podbił serca kinomanów na całym globie. Ba, wielu z nich czyniło to z powodzeniem jeszcze dziś.

Jednym z takich aktorów jest James Stewart, którego zobaczymy w tym miesiącu w filmie Henry Kostera „Mr. Hobbs na urlopie”. Aktor ten w tegorocznym plebiscycie filmowym „Nowin” i CWF zajął 5 miejsce, za Johnem Wayne, Gregory Peckiem, Burtem Lancasterem i Rockiem Hudsonem, a przed takimi gwiazdami jak: Mastroianni, Deloin czy Marais.

James Stewart urodził się w 1908 roku w Indiana. Kiedy skończył szkołę nie nic nie zapowiadało, że zostanie aktorem. Po studiach technicznych rozpoczyna pracę jako inżynier elektrotechnik, ale zawód ten nie pociąga go. Młody, smukły chłopiec próbuje zatem sił na deskach młodych nowojorskich teatrzyków, skąd z niemałym trudem toruje sobie drogę do Broadway'u.

W połowie lat trzydziestych debiutuje w filmie. Utwór nosi tytuł „Adieu” i Stewart gra w nim chorego, kaszlącego literata, który wyjeżdża na góry leczyć płuca i pisać książkę o niepotrzebnej zazdrości, a po powrocie zastaje swoją piękną żonę (Margaret Sullivan) w ramionach innego. Już tą rolę aktor zwraca na siebie uwagę krytyki, ale mimo że występuje w ciągłym nowym filmach, stale pozostaje w cieniu swoich wielkich rywali: Marcha, Gable'a, Roberta Donata i innych. Największe ówczesne sukcesy Stewarta to rola Chico w nowej wersji słynnego filmu niemieckiego „Siódme niebo” oraz kreacje w „Listach z pola bitwy”, „Rose Marie” i „Świat jest piękny”, „Biała kawalkada”.

W roku 1940 osiąga szczyt sławy: za rolę w filmie „The Philadelphia Story” otrzymuje Oscara i wchodzi do czołówki aktorów amerykańskich. Wojnę spędza w wojsku, początkowo w piechocie, a następnie w lotnictwie, które było pasją jego młodych lat. Wyróżnia się i szybko awansuje. Już po wojnie, mimo sprzeciwu wielu zawodowych woj-



ZDZISŁAW GOCEK — kierownik ZDK Sanockiej Fabryki Autobusów w Sanoku.
rys. J. SIENKIEWICZ

Zdarzenia tygodnia

W Ropczycach, Żolyni, Jarosławiu oraz w Rzeszowie w dniach od 2 do 4 kwietnia br. odbyły się koncerty Młodzieżowskie zorganizowane z okazji obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego przez Państwową Orkiestrę Symfoniczną w Rzeszowie. W koncertach udział wzięła solistka Opery Bytomskiej Pola Bukietyńska. Orkiestrą dyrygował Tadeusz Chachaj.

W Domu Sztuki przy ul. 1 Maja w Rzeszowie czynna jest wystawa gobelinów wawelskich, zorganizowana wspólnym staraniem Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu w Krakowie, Muzeum Okręgowego i Biura Wystaw Artystycznych w Rzeszowie. 3 bm. podczas otwarcia wystawy mgr Stefan Zajac, zast. dyrektora Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu wygłosił prelekcję zatytułowaną „Tkaniny artystyczne (arrazy) w Państwowych Zbiorach Sztuki na Wawelu”.

1 kwietnia w Państwowej Szkole Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Jarosławiu odbył się popis uczniów sekcji akordeonu i fortepianu.

Impreza, która odbyła się w sali Powiatowego Domu Kultury została zorganizowana w ramach uroczystości Tysiąclecia Państwa Polskiego. Podobny popis odbędzie się również w dniu 15 bm.

W salach wystawowych rzeszowskiego Biura Wystaw Artystycznych (Dom Sztuki) czynna jest wystawa grafik i obrazów, darów dla szkół Tysiąclecia. W skład zestawu prac wchodzi grafiki i obrazy warszawskich i rzeszowskich artystów. Przekazane one będą szkołom Tysiąclecia w Szebniech, pow. Jasto i Żyrardowie, pow. Debica.

Zakończenie eliminacji wojewódzkich XII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego

W poprzednim numerze „Widnokre- gu” informowaliśmy o wynikach eliminacji wojewódzkich XII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w kategorii młodzieży szkolnej. Dziś podajemy wyniki eliminacji w kategorii amatorów i młodzieży akademickiej. Przed sądem konkursowym w dniach 2 i 3 kwietnia przewinęło się

43 amatorów z województwa rzeszowskiego. Komisja postanowiła przyznać 2 drugie miejsca, które otrzymali Ryszard Józef Joachimiak z Ustrzyk oraz Celina Heller z Boguchwały, pow. Rzeszów, i 2 trzecie, które przypadły w udziale Ewie Duraczynskiej z Sannoka i Aleksandrze Głapa. Komisja przyznała również 4 trzecie miejsca i 5 wyróżnień.

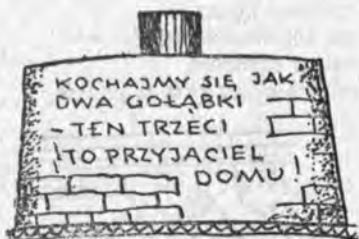
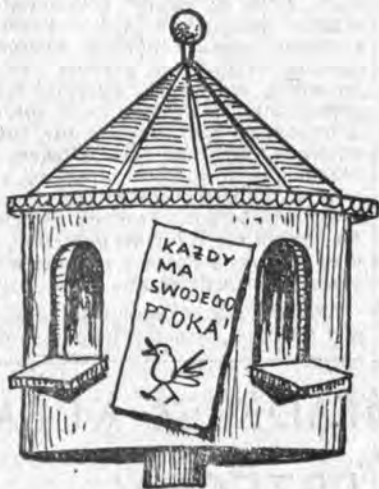
W kategorii młodzieży akademickiej nie przyznano pierwszego i drugiego miejsca, natomiast III uzyskała studentka rzeszowskiej WSP, Elżbieta Kaszowska. Ponadto przyznano 3 wyróżnienia.

W eliminacjach centralnych, które odbędą się we Wrocławiu w pierwszej połowie maja br. młodzież szkolną woj. rzeszowskiego będą reprezentować Lucyna Hobot z Ustrzyk, Jan Tucki z Łańcuta i Marek Soja z Rzeszowa, natomiast amatorów Ryszard Józef Joachimiak, Celina Heller i Ewa Duraczynska.

(stanski)

REDAGUJE
E. GAJEWSKI

RYŚ. J. SIENKIEWICZ



DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY OBYCZAJOM SARMATÓW POLECA: GOŁĄBKKI

Ja moi drodzy uwielbiam gołąbki. Tylko bez inwektyw, że wulgarny materialista. Z wie-przowiną, z ryżem w sosie pomidorowym, nie powiem złego słowa. Ale tak z całego serca... to ptaszki. Jak nie kochać? Nawet kamienne serce zmiękczy tak wzruszający obrazek:

Secesyjna nowa kamieniczka. Ho, ho. C. K. Matuszka, mocium panie, by pozazdrościła! A na kamieniczce secesyjny gzymsik, na gzymsiku idylla, aż za serce kamienne chwytą. Gołąbki — dwa dziubek w dziubek gruchają sobie. Pieski świat, zaraz człowiekowi myśli o ludziach nadchodzą. Choćby taki Jezuicki. Na ulicy do żony grucha: mój ty dziubku, a w domu, jak zaczną gruchać — on ją gruch, ona go gruch! — to człowiekowi pracy zdrowy sen pierzchnie.

„Gołąbek nie ludzie, człowiek czasem też ptaszek.”

Może mnie ktoś posądzić o przesadę, ale gotowy jestem ponieść każde ryzyko, aby przekonać was, że ptaszki te odgrywają społecznie pozytywną rolę w naszym życiu. No, powiedzmy kochaniu, że masz 67 lat. Stary człowiek, emeryt, może rodzina chce się ciebie pozbyć, „zakład” o tobie zapomnieli. Nikomu nie jesteś potrzebny. Siedzisz sobie na laweczce naprzeciw ratusza, smutny, choć wiosna i słoneczko przygrzewa. Nagle starym własnym uszom nie wierzysz: gołąbek do ciebie zagruchał. Radośnie rozrucasz okruszyny chleba, czujesz się znów komuś potrzebny, silny!

Toteż wszyscy ludzie serca podzielą moją radość; nasze wojewódzkie miasto już w najbliższym czasie będzie mogło się poszczycić najpiękniejszym w Polsce gołębnikiem.

Dotychczas zaimportowane z wielkim trudem z podwawelskiego grodu ptaszki musiały się tulać na poddaszach Ratusza i starych czynszówek, które w każdej chwili grożą zawaleniem. A dzisiaj sam prezes Rzeszowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej wystąpił z wnioskiem budowy gołębnika na budynku między blokami koło ulicy Słowackiego. Dzielnica niczego sobie. Gołębnik murowany, pełny komfort, światło elektryczne, drabinki i tym podobne urządzenia. Wniosek został przyjęty przez akklamację. Tylko jakiś hrabiowski wyrodek nieśmiało protestował, że jakiś Kowalski gnieździ się w kurniku, a Kociubińska ma w izbie grzyb. Ale takie malkontenckie głosy nas nie zatrwożą. Osobiście mam tylko jedno zamierzenie, aby naszym kochanym pupilom jakiś dziki lokator metrażu nie uszczuplił. Wprowadzi się taki dzikus do gołębnika, przygrucha jeszcze połowicę, i co młodszym i pulchniejszym ptaszkom będą ukręcać lebki... I tak same gołąbki będą im lecieć do gąbki.

A kto wie, może rachunku za światło nie będą płacić!